



# ODRODZENIE

TYGODNIK

Kedakcja:  
Daszyńskiego 16  
Administracja:  
Daszyńskiego 14  
Cena 25 zł

Rok VI

Warszawa, dnia 14 sierpnia 1949 r.

Nr 33 (246)

LEON KRUCZKOWSKI

## N I E M C Y

### AKT DRUGI

Hall w willi podmiejskiej prof. Sonnenbrucha w Getyndze.

W głębi po lewej stronie drewniane schody do pokoi na piętrze. Obok nich, po stronie prawej, szerokie szklane drzwi otwarte na taras, z widokiem na ogród. W lewej bocznej ścianie drzwi do sieni i głównego wyjścia na ulicę, obok nich telefon na stoliku. W prawej ścianie drzwi do jadalni i dalszych części mieszkania. W zakątku, utworzonym przez wygięcie schodów, mały okrągły stolik i fotele typu werandowego. Wzdłuż ścian półki z ceramiką ludową. Przy prawej ścianie, pierwszoplanowo, kominek z zapalonym kirkietem elektrycznym.

Godzina szósta wieczorem. W ogrodzie zaczyna zmierzchać.

W głębi, tuż przed otwartymi drzwiami tarasu, LIESEL, w ciemnej sukni, wciągnięta w głęboki fotel, wpatrzona w ogród, tylko nieznacznie widoczna od strony widowni, robi wrażenie jakby nie istniała dla otoczenia, ani otoczenie dla niej.

Na pierwszym planie, obok kominka, BERTA SONNENBRUCH (od kilku lat unieruchomiona chorobą nóg) siedzi w fotelu na kółkach, ubrana w nieco staromodną suknię wieczorową, przgląda gazetę, ale widać że czeka na coś lub na kogoś.

Na stoliku zastawa do kawy, butelka koniaku, kieliszek, talerz z jabłkami.

Z prawych drzwi wchodzi RUTH z domowej sukienki, z imbryczkami w ręce, idzie do stolika, nalewa kawę do filiżanek. Tuż za nią wchodzi prof. SONNENBRUCH, w ciemnym ubraniu, w okularach.

SONNENBRUCH: Dużo, dużo kawy, Ruth!

RUTH: Tylko jedną filiżankę, papo. Musisz oszczędzać się na wieczór. I jeden kieliszek koniaku (chce naleć).

SONNENBRUCH (wstrzymując, ogląda butelkę): „Hennessy”? A to skąd się tu wzięło?

RUTH: Mój upominek dla ciebie. Przyniosłam z Francji.

SONNENBRUCH: Przywiozłaś z Francji? (z uprzejmą stanowczością). Bardzo ci dziękuję, że pamiętałaś o mnie, ale... zabierz to sobie z powrotem.

RUTH: Dlaczego? Zawsze lubiłaś francuski koniak do kawy.

SONNENBRUCH: Zawsze lubiłem, ale dziś nie chcę. Zapamiętaj to sobie, Ruth. Dziś nie chcę niczego stamtąd.

RUTH: Ależ to dziwactwo, ojczu. Nie rozumiam cię.

BERTA (opuszcza gazetę, obserwuje ich).

SONNENBRUCH: Przykro mi, że nie rozumiesz. W każdym razie, zabierz to, a wzamian, jeśli już jesteś tak dobra, przynieś mi orzechowego likieru z kredensu. No, idź już, idź z tym, moje dziecko.

RUTH (wzrusza ramionami, patrzy na Bertę, wychodzi z butelką).

BERTA: Mógłbyś mieć więcej delikatności, Walterze. Postępujesz czasem jak człowiek bez serca. Biedna Ruth, widziałeś chyba jaką miała niezszczęśliwą minę?

SONNENBRUCH (niegłośno, z tłumioną irytacją): Wiesz dobrze, Berto, że nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Ani z tym co oni tam robią, ani z tym co oni, tu stamtąd przyniosą! Nic wspólnego, rozumiesz, Berto?

BERTA: Przestań! To co mówisz jest obrzydliwe. Jesteś, najogledniej mówiąc, dziwką i pedantem.

SONNENBRUCH: Jestem uczciwym Niemcem. Berto. Być może, Ruth nie zdaje sobie sprawy z tych rzeczy, miała zapewne najlepsze intencje, ale w każdym razie zrobiła mi wielką przykrość.

BERTA: Dla ciebie przykre jest wszystko to, czym żyje dziś każdy prawdziwy Niemiec. Wiesz ko w co wierzymy i co kochamy. Nie, lepiej nie mówmy o tym. Pij swoją kawę, Walterze, na pewno już przestygła (pozwornie wraca do gazety).

RUTH (wraca z butelką likieru w milczeniu napelnia kieliszek).

BERTA (po chwili, spoza gazety): Pomyśleć, że obchodzisz dziś trzydziestolecie swojej pracy, która zdobyła ci uznanie i szacunek całych Niemców! Mój Boże, gdyby ludzie znali twoje myśli!

SONNENBRUCH: Mam je wyłącznie dla siebie, Berto.

BERTA: To całe szczęście. Byłoby jeszcze lepiej gdybyś nie zwierzał ich nawet nam, najbliższym.

SONNENBRUCH: Robię to bardzo rzadko — i nigdy z wewnętrznej potrzeby. Przyzwyczaiłem się wystarczać sam sobie. Stać mnie na to.

RUTH: Nie podobasz mi się, papo (całuje go). Jesteś jeszcze wciąż czarujący, ale — coraz mniej zadowolony ze świata.

SONNENBRUCH: Cóż, moje dziecko, świat jest coraz mniej czarujący. (z naciskiem) Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż ja. Przecież, poza koniakiem, widzisz jeszcze to i owo, we Francji czy gdzie indziej...

RUTH: Tylko to co chcę widzieć, ojczu! Reszta niewiele mnie obchodzi. (po chwili, z jakimś wewnętrznym napięciem): Ach, ty nie wiesz jak teraz można żyć mocno! Jak mocno!

SONNENBRUCH (wpatruje się w nią długo): Jesteście jak owady, piękne, okrutne owady.

RUTH (śmieje się nerwowo): Nie mów do mnie w liczbie mnogiej, papo. Żyję i chcę żyć wyłącznie na własny rachunek.

LIESEL (nagle wstała z fotela, podchodzi na środek, patrzy na Ruth).

RUTH (sposrządza ją, długo patrzy sobie w oczy).

LIESEL (po chwili odwraca się, idzie pśwoli ku drzwiom jadalni).

RUTH (szybko za nią, chwytając ją za rękę): Liesel! Przepaszam cię! Zapomniałam, że tu jesteś.

LIESEL: Zapominasz nie tylko o tym. (odwraca się, wychodzi).

SONNENBRUCH: Biedna Liesel! Zdaje mi się, że za mało liczymy się z nią w jej okropnym stanie.

RUTH (odchodzi w głąb, staje w drzwiach tarasu, patrzy w ogród).

BERTA: Cóż my? Sama musi znaleźć w sobie siły. Tysiące niemieckich kobiet przeżywało to samo. (po chwili). Mnie także nie było łatwo pogodzić się ze śmiercią Eryka, chociaż padł na polu chwały...

SONNENBRUCH: Liesel straciła nie tylko Eryka: dzieci, dom — wszystko! Nie wiem czy zauważyła kiedy, jak wyglądają jej oczy? Są szalone od nienawiści.

SONNENBRUCH: Kogo, jak ci się zdaje?

BERTA: Naszych wrogów, oczywiście. Tych, którzy zabili jej męża pod Stalingradem, i tamtych, którzy rzucili bomby na jej dom i dzieci.

SONNENBRUCH (wstaje gwałtownie, zirykowany, rozgląda się): Tak. No cóż? (patrzy na zegarek). Mamy jeszcze pół godziny czasu. Ruth, czy nie przeszłabyś się ze mną do ogrodu?

ANTONI (wchodzi przez drzwi główne z sienią): Panie profesorze, chciałem przypomnieć, że od godziny siedzi u mnie ten Hoppe. Pan profesor obiecał przyjąć go na chwilę.

SONNENBRUCH: Prawda! Jeszcze ten Hoppe. Dobrze, niech Antoni go poprosi.

ANTONI (wychodzi).

RUTH: Kto to jest — Hoppe?

SONNENBRUCH: Mój długoletni woźny zakładowy. Teraz, niestety, służy innym sprawom. Prowadzi mocne życie, gdzieś na wschodzie...

RUTH (wzrusza ramionami, chce odejść).

BERTA: Ruth, moja droga, trzeba by już zaciemnić i zrobić światło.

RUTH (ściąga grubą, ciemną koturę w drzwiach tarasu, zapala główne światło, potem odchodzi schodami na górę. Widac jak wchodzi do swego pokoju).

HOPPE (wchodzi, prowadząc za rękę 10-letniego chłopca): Ja tylko na parę minut... przyszedłem odwiedzić Antoniego, pogadałszy sobie godzinę... ale jeśli pan profesor pozwoli... może Bożel to prawdziwe szczęście, znów widzieć pana profesora w dobrym zdrowiu... Heini, ukoń się ładnie! (sposrządza Bertę, kłania się). Dobry wieczór laskawej pani.

SONNENBRUCH: Bardzo się cieszę, mój kochany Hoppe, że udało się zdobyć dla pana kilka dni urlopu, specjalnie prosiłem o to pana rektora. A pański synek, widzę, z roku na rok coraz bardziej do pana podobny... To dobrze, porządni ludzie powinni mieć i dzieci podobne do siebie.

HOPPE: Robi się co można, panie profesorze. Prawdę mówiąc, chciałem tylko uściśnić pańską rękę. Rozumie się, że będę na uroczystości w uni-

wersytecie, ale na pewno gdzieś w ostatnim rzędzie. Takim jak ja trudno tam będzie dostąpić do pana...

SONNENBRUCH: No co, poznasz go chyba, Berto? Choć zdaje mi się, że w tym mundurze wygląda pan daleko gorzej... co to właściwie jest, panie Hoppe: pichota, intendentura?

HOPPE: Zandarmeria, panie profesorze.

SONNENBRUCH: Al! Zandarmeria... (przenikliwe przygląda się Hoppe, po chwili): Dlaczego pan się nie przebrał, przychodząc tutaj?

HOPPE: Przepisy, panie profesorze...

SONNENBRUCH: Przepisy? (kiwa głową, po chwili): Mniejsza z tym zresztą. Niechże pan usiądzie. Myślę, że nie pogardzi pan kieliszkiem orzechowego likieru? (wychodzi do jadalni, po chwili wraca z kieliszkiem, nalewa).

BERTA: Można zapytać, panie Hoppe, z której strony Europy pan przybywa?

HOPPE: To nie jest żadna tajemnica. Ze wschodu, proszę pani, z Gubernii Generalnej.

SONNENBRUCH: I coż wy tam robicie, mój Hoppe, w tej Gubernii?

HOPPE: Służbę się robi, panie profesorze, nic ciekawego. Nie warto o tym mówić.

SONNENBRUCH: Porządny człowiek zawsze ma coś do powiedzenia o tym, co robi.

BERTA: To całkiem proste, Walterze: pracują dla zwycięstwa naszego narodu.

HOPPE (skwapliwie): Tak! Właśnie tak!

SONNENBRUCH (z naciskiem): Ale ja chciałbym wiedzieć, co pan tam robi n a p r a w d e, panie Hoppe — pan osobście!

HOPPE (po chwili, ciszej, pod przenikliwym wzrokiem Sonnenbrucha): Jeśli pan profesor chce wiedzieć prawdę, to powiem, że porządni ludzie nie mają tam czego szukać... (coraz bardziej zmieszany). Porządni ludzie powinni siedzieć w domu, przy żonie, przy dzieciach...

BERTA: Mnie się zdaje, Walterze, że twoje pytania są trochę niewłaściwe. Żona i dzieci, panie Hoppe, nie żyją na księżycu, ich los, ich przyszłość, związane są z losami i przyszłością Niemiec.

HOPPE (zakłopotany): To prawda, laskawa pani, to się rozumie...

SONNENBRUCH: W każdym razie, mój drogi Hoppe, spodziewam się że pańskie ręce są zupełnie czyste — o, tak jak moje!

HOPPE: W służbie nigdy nie można wiedzieć, panie profesorze. Związczą tam, na wschodzie. To dziki kraj, okropni ludzie.

SONNENBRUCH: Niechże pan przynajmniej nie mówi tego przy tym małym, bo on gotów w to uwierzyć... (ostro): I w ogóle, niech pan nie mówi głupstw!

BERTA: Pan Hoppe dobrze wie co mówi. Eryk, nim zginął, pisywał z frontu wschodniego to samo: dziki kraj, okropni ludzie.

HOPPE: Mój Boże! Nie wiedziałem, że pan Eryk zginął...

SONNENBRUCH (nie odpowiada, po chwili, wskazując chłopca): Ten mały to, zdaje się, u pana najstarszy?

HOPPE: Najstarszy. Skończył dziesięć, panie profesorze.

SONNENBRUCH (ironicznie): No, to ma jeszcze trochę czasu. Pan, zdaje się, lubi dzieci, panie Hoppe?

HOPPE (jakby coś przeżywał): Lubie, panie profesorze...

SONNENBRUCH: Wszyscy lubimy dzieci, ale coż z tego? Wcale przez to nie stajemy się lepsi... (sięga do talerza z jabłkami, wybiera jedno). Otóż i coś dla ciebie, mój mały, żebyś się z nami nie nudził.

HOPPE (nieruchomiejąc, obserwując niemal z przerażeniem).

HEINI (obraca jabłko w rękach).

HOPPE (chrapliwie, prawie krzyżąc): Podziękuj, Heini! Podziękuj panu profesorowi!

SONNENBRUCH (głaszcząc chłopca): Jedz, jedz na zdrowie. Z jabłek się pięknie wygląda i długo żyje. Powinien pan, panie Hoppe, dawać dzieciom dużo jabłek. To zdrowe. Zdrowe i smaczne, prawda chłopcze?

HEINI (gryząc jabłko, potakuje głową).

SONNENBRUCH (ze śmiechem, spojrzawszy na Hoppego): Ale pan,

panie Hoppe, ma taką minę jakby pan nie zgadzał się ze mną...

HOPPE (również próbuje śmiać się): Nie, coż znowu, panie profesorze? Być może, mą się czasem głupią minę... nie wiadomo z czego? Z głupoty chyba... człowiek sam siebie dobrze nie zna... (podnosi się gwałtownie): My chyba już pójdziemy...

SONNENBRUCH (patrzac na zegarek): Cóż, nie wyrzucam pana, ale...

HOPPE: Rozumie się, pięć minut dawno minęło... Jeżeli pan profesor pozwoli, zajrzę jutro na chwilę do naszego zakładu... popatrzę chociaż, powachac powietrza w laboratoriach...

SONNENBRUCH: Zawsze, zawsze czekamy na pana, Hoppe. Niech pan tylko skończy jak najprędzej... jak to powiedziałaś Berto? aha! „pracować dla zwycięstwa naszego narodu”... No więc, do zobaczenia. Bądź zdrow, chłopcze.

HOPPE: Heini, ukoń się państwul! Uprzejmie żegnam, laskawa pani. (od progu): Mój Boże, to prawdziwe szczęście, że mamy jeszcze takich ludzi jak pan profesor Sonnenbruch! (wychodzi).

BERTA (po chwili): Bardzo jestem ciekawa, ilu ludzi myśli o tobie tak, jak ten Hoppe?

SONNENBRUCH: Tak dobrze, chciesz powiedzieć?

BERTA: W jego oczach jesteś, zdaje mi się, wcielona doskonałością.

SONNENBRUCH: Nie przesadzajmy. Hoppe nie myśli o mnie ani dobrze, ani źle. Po prostu: przyzwyczaił się do mnie, to wszystko.

BERTA: A ja nie mogę się przyzwyczaić. Wierzę mi, Walterze, cierpię fizycznie słuchając nieraz jak ty rozmawiasz z ludźmi — oczywiście, z ludźmi, których uważasz za możliwe uszczęśliwić swoim zaufaniem. Taki Hoppe chociaż zwyczajny, prosty człowiek, na pewno spełnia sumienne swoje obowiązki — a ty? Ty, zamiast go umocnić, dodać mu otuchy... czy ty naprawdę nie czujesz żadnej wspólnoty z naszym niemieckim losem?

SONNENBRUCH (spokojnie): Naprawdę, Berto. Nie mam nic wspólnego z tym, co ty nazywasz „niemieckim losem”. Prawdziwie Niemcy, to o których warto myśleć, wierzą mi, one są we mnie. O, tutaj! (kładzie rękę na piersi).

BERTA (z politowaniem): Ach, ty pięknoduchu! Zawsze byłeś egoistą!

SONNENBRUCH: Zawsze byłem wierny swoim ideałom. Jestem im wierny i dzisiaj. To mnie ratuje przed ostatecznym wątpieniem w sens świata. (po chwili): Tak. Tak. Jesteśmy już, moja Berto, oboje w tym wieku, że możemy mówić sobie prawdę w oczy bez obawy, że to rozbije nasze wspólne życie. Otóż...

BERTA: Nasze wspólne życie? Był czas, że nie widziałam nic poza nim. Ty, dzieci, dom... Ale to było dawno, bardzo dawno...

SONNENBRUCH: Masz rację. Dawno rozstał się z naszym szczęściem... bo jednak przypominam sobie, było w tym domu kiedyś coś takiego... Tak, możesz, jeśli chcesz, mówić o tym z politowaniem... Nie tylko zresztą my oboje, ty i ja — wszyscy Niemcy rozstali się ze swoim szczęściem, ze swoim pięknem i dobrem, weszli na drogę szaleństwa...

BERTA: Niemcy walczą o swoje prawo do życia — czy ty jesteś głuchy i ślepy, Walterze?

SONNENBRUCH: Proszę cię, Berto, nie mów do mnie tym językiem. To mogę zawsze przeczytać w gazecie. (po chwili): Powiedz mi, czy ty myślisz kiedy o Eryku?

BERTA: Myślę codziennie o wszystkich młodych, dzielnych Niemcach, którzy giną o każdej godzinie. Nie, nie buntuję się, że mój starszy syn padł między nimi. To mi pozwala bardziej kochać mój naród i jeszcze bardziej nienawidzić jego wrogów. (narde, z rozdrażnieniem): Gdzie jest Willi? Chcę, żeby już był przy mnie. Dlaczego jeszcze go tu nie ma?

SONNENBRUCH (staje przy Bertce, kładzie dłoń na jej ramieniu, z głębokim smutkiem): Biedna Berto! Kiedy przed paru laty zaczynała się twoja choroba, myślałem, że cierpienie wyleczy cię z szaleństwa, któremu uległaś jak tysiące, miliony innych. Nie przypuszczałem, że znajdziesz w niej dla siebie nowe źródło siły. Ale to jest niedobra, złowroga siła. To jest siła, która zgubi Niemcy! Zgubi Niemcy! (Na piętrze słychać mocne, sprężyste kroki)

WILLI (zbiega po schodach, w mundurze, wyszczerzony, w doskonałym samopoczuciu).

SONNENBRUCH (odstępnie od Berty, zdejmując okulary, przeciera je).

WILLI: Jestem mamo! (obejmuje ją ramieniem, całuje mocno i długo).

BERTA: Nareszcie, chłopcze! (nie puszcza jego rąk, wpatruje się, uszczęśliwiona): Cudownie wyglądasz, ale twój sen zabrał nam już pięć godzin z tych trzech dni, na które tyle czekałam. Czy... czy teraz mamy jeszcze trochę czasu?

WILLI (patrzy na zegarek): Samochody przyjadą za dwadzieścia minut. Jesteś, zdaje się, zupełnie gotowa mamo? Ja, oczywiście, idę z tobą, a Ruth podobno chce zawieźć ojca swoim małym Mercedesem. (śmieje się): Nie wiem tylko czy to wypada, żeby jubilat zajeżdżał takim skromnym wozem.

SONNENBRUCH: Jeżeli o mnie chodzi, mogę pojechać tramwajem. Trzydzieści lat temu jeździłem tylko tramwajem. Ale mniejsza z tym. Muszę raczej uprzedzić cię, Willi, że dziesięć wieczór będzie audyjo...

WILLI: Jestem przygotowany na wszystko. Wziąłem cudowną kapiel, czuję się świetnie i mogę słuchać nawet tuzina przemawiających profesorów!

BERTA: Ojciec również przygotował mowę... miejmy nadzieję, że (z naciskiem) w s z y s c y będziemy mogli oklaskiwać ją bez zastrzeżeń...

SONNENBRUCH: Wątpię. Nie powiem nic nowego. Nie, raczej będę się powtarzał. Umieć dziś mówić jedynie to samo, co mówiłem i myślałem przed trzydziestu laty.

WILLI (z wyrażonym szczerstwem): Czy w biologii, papo, nie się nie zmieniło od trzydziestu lat.

SONNENBRUCH: Owszem, nie jedno. Ale ja nie zamierzam mówić dziś o biologii.

BERTA: O czym będziesz mówił?

SONNENBRUCH: Nie obawiaj się, Berto. To co będę mówił nie dotknie nikogo. To po prostu kilka wspomnień o ludziach, z którymi pracowałem w ciągu tych trzydziestu lat. Kogóż to może dotknąć, powiedz sama?

WILLI: Jednym słowem: mowa sentymentalna?

SONNENBRUCH (podchodzi do niego, kładzie mu rękę na ramieniu, patrzy w oczy): Mowa o niepokornych nadziejach i o znikomości faktów — tak chyba, jeśli chcesz wiedzieć, mój synu! (odwraca się, wychodzi przez jadalnię).

WILLI (patrzy za nim przez chwilę, po czym bierze najbliższe krzesło, siada tuż przy Bertce, bierze jej rękę w swoje): No więc mów, mamo, mów! Jak twoje zdrowie? Wyglądasz trochę gorzej niż pół roku temu.

BERTA: Zdaje ci się. To może przy tej czarnej sukni.

WILLI: I siwych włosów ci przybyło, ho ho ho! Ale do twarzy ci z nimi — bardzo!

BERTA: Nie pocieszaj mnie. Kobiet młodych i ładnych na pewno nie brak koło ciebie, dla nich schowaj komplementy. Nie, raczej mów o sobie. Co ty tam robisz teraz, w tej Norwegii?

WILLI (śmieje się): Wciąż to samo, chociaż co dzień coś nowego.

BERTA (ciszej, z niepokojem): Ciężko, prawda?

WILLI: Nie bój się, sił nam nie braknie. Führer nie zawiedzie się na nas. Ani — wy!

BERTA: Czasem nie mogę się oprzeć różnym niepokojom, złym myślom. Wiem, że to słabość, wstydzę się tego, ale... Bywają teraz takie dni, że boję się słuchać komunikatów...

WILLI (nachmurzony): Tak, trochę ciężko.

BERTA (z nagłym gniewem): A jego to nic nie obchodzi!

WILLI (zdumiony): Kogo, mamo?

BERTA: Ojca, oczywiście! Zapiął się pod szyję, na wszystkie guziki, i po prostu nic go nie obchodzi! „Nie przyjmuję do wiadomości”, rozumiesz? Dawniej nie cieszył się naszymi zwycięstwami, także „nie przyjmował ich do wiadomości”, a teraz... nie, nie, po coż ja ci mówię o tym wszystkim?

WILLI (ponuro): Nie mówisz mi nic nowego, mamo.

BERTA: Cale szczęście, że przynajmniej jako uczonej wypłaca się swojemu narodowi. Jeszcze nigdy nie pracował tak dużo jak obecnie. Całymi dniami nie wychodzi z laboratorium.

WILLI: Nie znam się na tym, ale tu i ówdzie słyszałem, że wynikami

jego badań interesują się bardzo w medycznych kolach wojskowych.

BERTA: Podobno. Ale zdaje mi się, że jego i to niewiele obchodzi. Nie masz pojęcia, jak mi z nim ciężko teraz żyć pod jednym dachem. Nosi na sobie jakiś niewidzialny pancerz, skopruje, przez którą jest przenika nikt i nic. Sam też niewiele się odzywa, ale to nawet lepiej... (ciszej). Oba! wiem się, żeby nie zrobił dzisiaj jakiego skandalu.

WILLI: Bądź spokojna. Nie odważ się. Może nie wypada mówić tak o własnym ojcu, ale wierzę mi, ja się znam na tym: to jest tchórz.

BERTA: Pedant i dziwak. Wyobraź sobie, twierdzi że prawdziwie Niemcy to właśnie on! Jeśli powie dziś publicznie coś takiego, że wstydzi chyba zapadnąć się pod ziemię. Bądź co bądź, nosimy przecież jego nazwisko — i ja i ty.

WILLI (z nonszalancją): Co do mnie, mamo, robię wszystko, żeby narzwicko Sonnenbruch wywieralo na ludziach właściwe i mocne wrażenie. Są tacy, którzy drżą, gdy je słyszą.

BERTA (niepewnie): Nie wierzę ci. Masz takie jasne, czyste oczy. (z uwielbieniem): Ciebie można tylko kochać, chłopcze!

WILLI: Są i tacy co kochają. Ale dla mnie ważna jest tylko twoja miłość, mamo. Wszystkie inne znużają się wcześniej niż później.

BERTA: Nie, to ty! ty jesteś dla mnie wszystkim! Odkąd choroba przykula mnie do tego krzesła, żyję tylko myślami o tobie. O twoim silym, zdrowym ciele, o twojej dzielnej, śmiałej duszy. Nie znośłabym mego kalendarza, mego niedołęstwa, gdyby nie twój obraz w oczach.

WILLI: Nie cierpię tego twojego krzesła. (z egzaltacją): Gdybym mógł być wciąż przy tobie, nosiłbym cię na rękach!

BERTA: Tak rzadko teraz przyjeżdżasz! Wiem, że jesteś tam potrzebny, godzę się z tym, ale coraz bardziej brakuje mi twojego głosu, twojej ręki... Ostatecznie, mogłoby już przemieścić cię gdzieś bliżej, do Belgii na przykład, albo do Holandii...

WILLI: Wszędzie dziś dla nas roboty po łokcie, mamo.

BERTA: Tak bym chciała widzieć cię kiedy przy twojej pracy...

WILLI: To znacznie mniej ciekawe niż ci się wydaje. Często aż nud

ROMAN BRATNY

# ŚWIĘCI W BATTLE-DRESSACH

„Nawet dziesięcioletnia dziewczynka Anna stawiała w 1703 roku przed sądem wyszogrodzkiem, oskarżona o czynienie kolorowych myszy z liścia różanego: wzięła cztery listki zioła je na krzyż, dwa razy chuchnęła”.

Byli ludzie, których zeznania zamknęły się w tę właśnie formę. Byli ci, którzy tak dawali świadectwo prawdziwe. Ich niewatpliwa dobra wiara opierała się na latach wspaniałych tradycji demonologii.

„Tak jak uczeni współcześni, tiomacząc zjawiska przyrody, napelniali przestwór atomami, elektronami, jonami, emanacją eteru czy radu, tak świat średniowieczny pełen był biesów, czartów, diabłów i demonów. Jeden z ojców teologów określił liczbę ich na 10.000 bilionów. Ks. Bohomolec oblicza, że jest ich mniej: tylko 15 miliardów, najmniejsi są zaś kabaliści: twierdzą, że na każdego śmiertelnika 11.000 diabłów — 1000 z prawej strony, a 10.000 z lewej. W każdym razie musieli ich być doprawdy mnóstwo nieprzeliczone, jeżeli zważy, że z jednej tylko pacjenta jednego egzorcysty (św. Ubaldina) wyszło 400.000 demonów. I to skromnie licząc! Były to według nauki kościoła duchy niematerialne, „z waporów ziemskich utworzone”, lecz ta abstrakcja nie zadowoliła fantazji wystraszonego ludu. Ludzie widzieli diabła jako postać realną — osobę, względnie zwierzę, a nawet roślinę i przedmiot, słowem obiekt zmysłowy. Był tedy mniem, na którego spadł deszcz rzęsisty szatanów; Grzegorz Wielki opowiada o słotrzycze zakonnej, która poiknęła czarta w salacie”.

Katolikowi trudno dziś uwierzyć, że w czasach, gdy światopogląd wieku był na wskroś demoniczny, ortodoksyja kościelna kryła go całą swoją powagą. Przypomnijmy dogmat, przez św. Tomasza z Akwinu utwierdzony: „Fides catholica vult, quod daemones sint aliquid et possint nocere suis operationibus”. Gorszył się ks. Chmielowski, że istnieją ludzie, którzy: „całe negują, aby czarnoksięstwa i czary miały się znajdować, a co większa: niektórzy twierdzą, że nawet i czartów nie ma. Jak oni temu ważą się kontradycykować, czemu kościół boży nigdy nie kontradycykował”.

Nie trzeba przypominać, co sprawiło, że z opuszczeniem mroków średniowiecznych „cudła nielegalne przez diabła czynione” ustają. Kościół musiał wylecieć się z inkwizycyjnej gorączki, ale stany podgorączkowe czarnej wyobraźni trwały ukryte w przesądach, odczynianach, legendach.

Stan sieci kolejowej na Lubelszczyźnie w roku 1937 wyglądał następująco: na 100 km<sup>2</sup> przypadało torów kolejowych — 4 km (na Śląsku 18,5, na Pomorzu 11,4). W przeliczeniu na 10.000 mieszkańców otrzymaliśmy w lubelskim 4,6 km torów (na Pomorzu 16).

Sieć dróg bitych wyglądała podobnie: na 100 km — 13,1 km (Wrocławskie 65 km).

Procent analfabetów w woj. lubelskim wynosił 24,6% (Śląsk 1,5%, Poznańskie — 7,6%).

W ciągu dziesięciolecia 1921 — 1931 ludność Lublina wzrosła o 18 tysięcy, gdy, powiedzmy, takiej Bydgoszczy o 30 tysięcy. Łatwo będzie teraz wyobrazić sobie przelotność tego terenu, jeśli chodzi o ruch w nim wiedzy o świecie i jego sprawach. Łatwo będzie sobie wyobrazić rolę kościoła w ośrodkach oddalonych o dziesiątki kilometrów od najbliższej linii kolejowej, gdzie co czwarty człowiek nie umie czytać, gdzie co dwudziesty może ma znajomego „miastowego człowieka”.

Gdy postanowiłem napisać artykuł o „cudzie lubelskim”, doszedłem do wniosku, że należy to zrobić nie ruszając się od biurka — trzeba po prostu pisać o ciemności, zacofaniu pewnych rejonów Polski, pewnych klas społecznych, odziedziczonych w takim stanie przez ustrój ludowy. To zacofanie jest właściwym „cudem incognito” — zawsze gotowym do ujawnienia się choćby w formie hysterii religijnej. Sądziłem, że szukanie doraźnych wrażeń reporterskich byłoby z kolei po piarsku znachorskim „zamawianiem” cudu. „Cudy” leczą plan sześciolatek, reforma szkolnictwa, itp. itp. — o tym trzeba napisać.

W Wiśniczu w 1688 roku Jadwiga Macowa mlekiem plec oblepiała, żeby śnieg w lecie upadł! — ale przecież ważniejsza od owego pleca jest socjologia procesu powstawania i trwania zabobonu. W 1949 — w Lublinie — reakcyjna część kleru próbowała nowymi gusłami zamrozić polski lipiec, zamknąć oczy na dziką wsi na to, skąd idzie poprawa jej bytu. Trzeba dotrzeć analizą do politycznej treści takiej akcji: lubelski ołtarz jest równie przypadkowy, jak piec i mleko Macowej — mówiłem sobie.

Jednak byłem w Lublinie. Widziałem „piec mlekiem oblepiony, żeby śnieg w lecie upadł”.

## Strażacy ręce odmrażają w lipcu

„Nad Katedrą biła taka jasność, że straż przyjechała zaraz, że to nie był pożar. Podbiegają, a tu ogień zimny — jasność tylko taka ogromna...” — spojrzała na mnie uważnie. Otoczony byłem przez gromadę kobiet. „Były to tzw. baby, cioty,

gusińce, matochy, wiedźmy — słowem, czarownice. Na lep chytrności szatańskiej szły w pierwszym rzędzie niewiasty wiejskie, gdyż w nich niemasz rozumu przyrodzonego ani nauki pisma świętego”. (Cytuje za autorem „Czarów i czartów polskich”). Tyle o aktywistkach średniowiecznych procesów o czary. Stałem wśród nich. Tylko, że miałem do czynienia nie z ofiarami ciemności, lecz z ofiarami perfidnego wyrachowania politycznego. Widziałem tych ludzi przed „cudowną” Katedrą — tu przyszli oglądać cud. Ale jaka „cudowna” moc sprawiła, że widziałem ich również stojących nie przed katedrą, lecz przed innym kościołem, nie na placu, gdzie wznosi się siedziba „cudownego” obrazu, ale na placu, gdzie odbywał się właśnie wiec protestacyjny przeciw ciemnogrodzcykom. 17 lipca nastąpiła wielka demaskacja „cudu”. 17 lipca, gdy tłumy uchwałyły rezolucję, reakcyjny kler wykorzystując wiernych próbował rozwinąć swój ciemny chór. Wierzący śpiewali: „Matko lubelska, uczyn z nami cud” — nie widzieli, jaki cud organizuje ksiądz kapucyn dający z okna kościółka dyrygentki znak skupionemu w jednym miejscu chórowi KUL. Może wierzący szli potem pod palac biskupa, ale po otrzymaniu biogłosławieństwa i biskupich zapewnienia, że „prawda zwycięży”, z okrzykami poszli już dalej tylko reakcyjnie prowadzeni znów przez białe KUL-owskie czapki.

Wierzący stracili grunt. W walce o upolitycznienie wiary zwyciężyła polityka. Obraz święty potraktowano jako transparent, na którym wypisuje się niezdarne zaszyfrowane hasło.

A historia samego obrazu? O tym, że nie ma żadnego „cudu”, władze katedry i diecezji wiedziały już nazajutrz, 4 lipca, kiedy zebrała się komisja, specjalnie powołana przez biskupa Golińskiego. Cóż oświadczył członkowie tej komisji?

**Zofia Bałzukiewiczówna** — malarzka: „po obejrzeniu obrazu w kościele wszyscy członkowie komisji powrócili do mieszkania księdza biskupa Golińskiego, gdzie był spisany protokół stwierdzający zgodność — przez wszystkich członków komisji — że zmiany te nie pochodzą z przyczyn nadprzyrodzonych, że żadnym objawów cudownych nie wykryto. Następnego dnia, tj. 5.7.49 r., każdy z członków komisji złożył na ręce biskupa Golińskiego swe spostrzeżenia i opinie na piśmie. Analiza doktora brzmiała, że plama na obrazie nie pochodziła z krwi”.

**Ks. Forkiewicz**, wikariusz katedry, wyjaśnia: „nazajutrz (po posiedzeniu komisji) dowiedziałem się od ks. Golińskiego, że badania komisji wykazały, że nie ma podstaw, aby dane zjawisko uznać za nadprzyrodzone...”

Członek komisji, **Jan Powicki**, historyk sztuki, oświadcza: „na pierwszym posiedzeniu komisji w dniu 4.VII rozważając różne możliwości powstania zacieku na obrazie, biskup Goliński stwierdził, że należy się liczyć ze sztucznym zakropieniem przez jakiegoś sekiarza...”

Trzeci obłudnego listu biskupiego wydanego przeszło tydzień potem jest powszechnie znana. W sposób naruszający godność religii, wbrew oficjalnemu stanowisku, które władze kościelne zająć musiały — poprzez mniej lub więcej zamaskowanych agitatorów roznoszone dalej fame o cudzie. Lubelski „Standar Ludu” pisał: „Czym wytłumaczyć powszechnie stwierdzony fakt, że niby wbrew oficjalnym wezwanom biskupstwa księga organizowali pielgrzymki. Czym wytłumaczyć, że ludzie przybywający z różnych stron Lubelszczyzny, nieśli nie tylko krzyż — wzięte z kościołów, ale często i kościelne chorągwie”.

## Kombinat cudów

Gdy jadłem w Lublinie obiad w „Pasztecziarni chrześcijańskiej”, czułem niepokój, gdy z kuchni dolatywały zapach palenizny. Majdanek, gdzie spopieleno setki tysięcy Żydów, jest blisko szlaku akcentującego dumnie tradycje międzywojennej kołtunerii. W tej zresztą knajpie dowiedziałem się o tym, że ciemnota, ów „cud incognito” — daje o sobie znać zewsząd. Dowiedziałem się, że w jednej gminie powiatu Biała Podlaska wydarzyło się jedenaście cudów.

W mojej wersji nie napisano jeszcze artykułu treść socjologiczna „cudu incognito” zakryć miała zupełnie przypadkowy Lublin. Okoliczności złożyły się w ten sposób, że fanatyczna ciemnota zrezygnowała ze swego incognito w wielu miejscach równocześnie. Nie miałem siły i czasu, by wypełnić swój nagły „Pasztecziarni chrześcijańskiej” zrodzony plan. Objechać wszystkie nawiedzone miejsca w jednej bodaj gminie Piszczac. Opowiem o wsi swoistego rekordu cudotwórczego, o wsi trzech cudownych obrazów — Chotyłowice.

W niskich, zadymionych wnętrzach chałup wiszą obrazy święte. W izbach przesyconych odorami kuchni — parą gotowanych dla świni ziemniaków, a nieraz i woniąmi urzędującego tu „inwentarza”, oleodruki ciemniejsza i z czasem kontury obrazu zacierają się zupełnie. Przy ja-

\*) **Tuwin:** „Czary i czarty polskie” Stamtąd i inne cytaty demonologiczne.

kiej wielkiej okazji kupuje się wtedy nowy święty wizerunek. Kobieta Trochanowicza wspominała już nieraz, że warto by kupić nową Matkę Bożą, ale — wiecie — schodziło tak od odpustu do odpustu. 19.VII — Trochanowiczowa dostąpiła łaski: obraz „przejaśniał cały”.

Sama była w izbie. Rymnęła na kolana. Potem poderwała się — dzieciśka zwołała — a one, gupie, nic nie widzą. Wezwana na gwałt sąsiadka — nazywa się Sowa, łatwo zapamiętać „nawiedzona” — zobaczyła!

Zbiegowisko przed chałupą Trochanowiczów było już wielkie, gdy Sowa wracała do siebie. I tu — w swojej izbie — widzi naprawdę! Widzi: i j e j o b r a z j a s n a ł. Jedną tylko miała dobrą kumę, która data się odcierać od chałupy Trochanowiczów, gdzie już tłum zdążył zgnieść jedyną szafę, więc obraz dla adoracji teraz na zewnętrznej ścianie gospodarza — jak się zdawało mądry po szkodzi — wywiesił. Na drugi dzień — jeszcze mądrzejszy po nowym szkodzi — gdy mu zatratowano już cały ogród, wyniósł obraz i powiesił na gruszy przy furtce. Ale wracający z Sową i jej pozyskaną dla nowego cudu sąsiadką Mrozową do nowego „obrazu co pojaśniał...”

Na drugi dzień rano „pojaśniał” i obraz Mrozowej! Wied trzech cudów miała swoje przedwonne.

Podobne rzeczy działy się we wsi Tuczna. W jednej wiosce ksiądz wyjechał poprzedniego dnia, w drugiej „o niczym nie wiedział”. Nie ma pewności, czy ks. Borkowski rzeczywiście przypadkowo wyjechał, czy też wyjazd jego wiązał się z jakąś „naradą wytwórczą” w Lublinie — podaję tylko fakty.

Pisma doniosły, że cud w Wyszokowie wydarzył się w przeddzień dnia targowego, że o cudzie w Pruszkowie wiadomo w sąsiedniej miejscowości na dzień przed tym, nim się wydarzył. Wiadomym mi jest, że jeden z żołnierzy KBW w Lublinie otrzymał list od matki z Poznania, datowany 2 lipca, w którym ta pisała do syna, że zobaczyła się wkrótce, ponieważ wybiera się ujrzyć „cud”, co miał miejsce w Lublinie („miał” — ale 3 lipca).

Fakty? Fakty. A wnioski? Niech się nimi zajmie prokuratura.

## Święty Januariusz w Battle-Dressie

Wracając do Lublina dowiedziałem się o nowym „poważnym, bo w kościele” cudzie w Jastkowie. Na miejscu okazało się, że sprawa jest zżyta zbyt już grubymi nićmi. Świadczyli potwierdzają, że poprzedniej nocy w kościele paliło się światło. Kościelny zeznaje, że nie wie, skąd się wzięły „ły” — ślady brunatnej farby na policzkach świętego obrazu, ale bliski przyjaciel kościelny, sklepikarz Piech wie, ile sprzedał na drugi dzień piwa w swoim sklepie „pielgrzymom” — cztery beczki. Wprawdzie dorobił się w okresie okupacji — dom postawił wcale, wcale — ale przecież nigdy dosyć. Piwo idzie wysmienicie, a gdy ksiądz zamknął wrota kościoła, zostały wyważone przez tłum. Kler poszedł za daleko.

„Nadużycie kultu, nadużycie pojęcia „cudu” dla rozgrywki z państwem okazało się, jak wolno sądzić, eksperymentem chybionym, o włos zaledwie graniczącym z bluźnierstwem — pisał słusznie Jacek Wołoski. Sprawy, które są sprawami kultu, sprawami wiary, staną się z winy niektórych polityków — w sutannach i bez — zjawiskami niemal figlarnymi. Spowodują, że wielu uczciwie wierzących ludzi zacznie wątpić z winy tych, którzy z tytułu swego powołania powinni być najczynniejszymi wiary i powagi kultu stróżami”.

Wróciłem do Lublina, by po drodze dowiedzieć się z jednej strony, że urzędnik Izby Skarbowej „stał w katedrze na progu ołtarza i zabierał 50% ofiar do swego worka”; z drugiej, że milicja papieska zorganizowana błyskawicznie — co za talenty! — w dniu „cudu” stanowią dobrze znany władzom policyjnym zespół rzemieślników skrzyżowanych z reprezentacją złotej młodzieży.

W lubelskiej katedrze widziałem wielki napis: „Wystrzegać się złośliwości” — chodziło o drobnych rzemieślników. Przed złodziejami spokoju tysięcy ludzi, złodziejami życia dwudziestoletniej dziewczyny i zdrowia kilkunastu poranionych w wypadku przed katedrą — tam się nie ostrzeża. Widziałem za to przychwyconą maszynopisową „oddezwę”: „Bezpieka, milicja, PZPR przez dziesięć dni nadsyłał swoich agentów, by siac ferment, dezorganizację oraz okradali ludzi z portfel”. Studentka KUL, autorka „oddezwę”, dodała: „Sami ukrzyżowali Chrystusa i nas chcą ukrzyżować”.

Lubelszczyzna miała swój cud i przed wojną. Nazywał się Michałko. Chłopak, do którego pielgrzymowały całe wsi — kataleptyk i maniak. Przypomniała mi o nim jedna z kobiet na zebraniu we wsi Komodzińska: „Widzieliśmy już cuda — różnych Michałków — znamy je dobrze, te cuda”. Ta prosta kobieta wróciła mi moją dumę narodową, stratomaną w Lublinie przez ciemnych rodaków. Teraz już mogłem pozwolić sobie na

wspomnienie relacji o świętym Januariuszu z Neapolu, którego krewlerkiwa gotuje się co roku „na imieniny”. Kościół jest pełen. Biskup celebrował nabożeństwo. Niecierpliwi Włosi gnali przez swój południowy temperament pokrzykują zachęcająco pod adresem świętego, w końcu wymyślając mu: „prędzej no!” Raptownie grom! Ekstaza — od ołtarza znak — krew się gotuje.

Święty odstąpił od swych obyczajów raz — raz jeden. Dwa lata temu zagotował się powtórnie, gdy Katedrę zwiadał Marszałek Montgomery. Kosmopolityczny kler prowadził wszędzie jednakową politykę. Ubięra świętych w battledress i wysłał na front politycznej walki.

Walka polityczna z lewicą przybiera formy średniowieczne — inkwizycyjne. Wielki polityk w Watykanie wykonuje dyrygentkie gesty, a na głębokiej ciemnej prowincji... radio katowickie podało: „Sąd okręgowy w Gliwicach zakończył rozprawę przeciwko przełożonej Domu Dziecka w Pyskowicach, siostrze zakonnej Gertrudzie Fogel, oskarżonej o znęcanie się nad wychowankami... „Siostra” pobiła do ustrzyżymności 14-letnią Teresę Musiol za wzięcie przez dziewczynkę udziału w obchodzie Święta Ludowego”.

Rzeczywiście teraz na ciebie dziecka można byłoby znaleźć piętna diabła: ręce od plec i nogi od kolan sine krwawe, zmęczone — jakie stwierdzili inkwizytorzy, jako ostateczny dowód czarownictwa, gdy mimo tortur ofiara się nie przyznawała.

Znamy nazwiska księży dobrze upamiętnionych w naszej historii, ale ostatnio dzieje się tak, że słyszymy częściej o księdzu Forsysiu czy Fertaku z procesów bandy NSZ-towskiej, o księdzu Gurgaczu, bohaterze bandyckiego napadu, o kontaktach powag kościelnych z Doboższymi.

## Nawrócenie

Mój rozmówca, miły liberalizujący student, nagle się zaciął. Naraz wyjął deklarację partyjną.

„Dziś składam. Ja nie mogę patrzeć na to, co się dzieje. Jestem nawrócony”.

„222 kilometry węglarek, tendrów, wagonów pociągowych — oto cudowny nasz dorobek” — oświadczył występujący w dyskusji na wiecu w PAFAWAG Sienko.

„Dotychczasowe wyniki prac komisji nie dają podstaw do uznania zjawisk, jakie miały miejsce w naszej katedrze lubelskiej, za zdarzenia cudowne i nadprzyrodzone” — oświadczył po jezuciku i wykrętnie („Zjawiska w katedrze”, „dotychczasowe wyniki”) nasz znajomy biskup.

„Żeby mieć na kosztą pogrzebu, musiałem sprzedać prosiaka. Bo to i księdzu trzeba było trzy tysiące dać i organicie półtora tysiąca, no i kościelnemu tysiąc złotych za to, żeby kopnął grób” — powiedział ojciec zamordowanej pod katedrą Heleny Rabczuk.

„Księża lubelscy prowadzą wiernych do tego obrazu, gdzie ludzie proszą, nainwnej wiary, doznają gorzkiego rozczarowania lub dają się porwać wytworzonej już psychodzie, gdzie ulęgają halucynacjom, zjawiskom powidoku i autosugestii. To postępowanie gorszy myślącego katolika. Taki stosunek do obrazu jako przedmiotu kultu nadaje tej czci wyjątkowy, publiczny charakter, wbrew stwierdzeniu biskupa Ordynariusza, który mu wyraźnie tej cechy odmówił”.

„Wiara będąca podstawą religii nie powinna być inspirowana i podsykana sposobami średniowiecznymi, które zaskubają na miano chwytów dających tanie i łatwe efekty. To nas gorszy i oburza. To wywołuje na nasze czoła uczucie wstydu za tych, którzy dopuścili do takiego rozwoju sytuacji, iż spowodowało to w ciągu kilku dni gorsząca i uwłaczająca uczuciom religijnym sceny w rodzaju zgwałcenia, zamieszania, klótni a nawet bójki o cud w katedrze...” — powiedział jeden z mówców na zebraniu katolickiej inteligencji w Lublinie.

Tamże mówił inżynier Szubert: „To co się dzieje wokół „cudu” w katedrze dotknęło bardzo przykro katolików lubelskich. Zagadnienie to nie ma nic wspólnego z wiarą katolicką. Gdyby Chrystus mógł się ukazać, bicem by po raz drugi przepędził tych wszystkich oszustów i kramarzy, zerujących na naiwności i głupocie ludzką”.

„Nawrócenie” Lubelszczyzny na cywilizację nastąpił prędko. Plan sześciolatek przewiduje przeszło dwukrotny wzrost liczby zatrudnionych w przemyśle, nastąpi ogromna rozbudowa sieci elektrycznej; powstanie sieć szkół zawodowych; położy się nacisk na racjonalizację uprawy roli...

A kto chce już wiedzieć, gdzie można na Lubelszczyźnie odetchnąć innym powietrzem, niech wyjdzie z opustoszałego już lubelskiego rynku, niech pojedzie śladami reportera, który pisał w „Życiu Warszawy” o „Lubelskich ziemiach odzyskanych”.

„Daleko od Lublina, tam gdzie „wybrzusza się granica”, w okolicy Sokala i Zabuża, rozciąga się kraj zdeptyany i skrwawiony hajdamackimi rzeżami, kraj, gdzie ziemia, chyba najlepsza w Polsce, rodzi pszenicę wysoką i gestą jak młody zagajnik. Południowo - wschodnią część powiatu hrubieszowskiego ukraiński faszyzm pogroził w niedole. Kwitnącą wiśniowymi sadami ziemię zamienił w pustkowie, co to otoczone złą sławą „dzikiego wschodu”. Tu też leżą nasze wschodnie „ziemie odzyskane”. Życie na nowo zakorzenia się w spalonych wsiach. Twarda, pionierska praca zmienia przygraniczny kraj w nowy ogromny spichlerz zboża. Zmienia strukturę tego kraju, przekształcając go w najbardziej nowoczesne obszary rolnicze”.

Tuż przy granicy rozciąga się obszar 12.000 ha największego w Polsce gospodarstwa. Obszar ten, nazywany obecnie „Gigantem”, w przeciągu jednego roku zamieniono w tętniącą życiem i pełną rozmachu fabrykę chleba. 178 traktorów uprawia pola, na których rosły przed rokiem tylko bujne zielska, gdzie buszowały dziczące koty i rozplenił się niebo nad nią. Przyjechali tu ludzie — spali w zgłiszczach domów, w rozwalonych chałupach, żywiąc się tym, co można było kupić w najbliższym miasteczku. W Horobrowie, Zarlinie, Ulwówku, Wiślawicach wyrwać zaczęli przyrodzie zagarnięty przez nią ląd. Na szczyrach polach powstawały stacje traktorów, pod daszkami bez ścian stały konie, dziś tu szumił pociąg na 9.000 ha. Gigant rozpoczął żniwa. W poniedziałek ruszyły do pracy dwa kombajny typu „Stalnic”. O niczym innym nie mówiono we wszystkich folwarkach. O wschodzie słońca obudziła mnie w stajni, gdzie przyszło nocować, rozmowa dwóch traktorzystów śpiących po sąsiedzku na sianie.

— Ty, słuchaj no, dziś w Horobrowie ruszą te dwa kombajny. Oglądałem je na podwórzu. Cholera, nie duże. Diabli wiedzą, czy się dla nas nadadzą.

— Frajer. Właśnie dla nas najlepsze, przecież taki czort robi za 160 ludzi dziennie. Wygoni i wymiści 20 ha zboża.

Gigant stosuje najbardziej nowoczesne metody uprawy. Za kombajnem ciągną lżejsze traktory z pierwszą podorywką. Koni nie widzi się prawie zupełnie. Dziesiątki czeskich żniwiarek i snopowiązerek uwiija się wszędzie po polach, daleko, jak

Włodzimirz Słobodnik

Ballada

## O NORMANDZKIM KOŚCIELE WANG W BIERUTOWICACH

Z sosny norweskiej wzniesiony, Surowy i jednolity, skrzydłami aniołów morskich, Jak mieczami przesyty, Łódź błędna — szuka przystani W podobocznym litaniu.

Okryli go Normanowie Rzeźb poplątanych warstwą, Wznośząc modły strzeliste O pomyślne korsarstwo I o szczęśliwy połów Do rybio-pirackich aniołów.

Chłodne i ciemne Madonny, Jak Syreny Północy, Zorzami borealnymi Czeszą swe zimne włosy. Dal słona i bezbrzeżna Zagnieździła się w rzeźbach.

Pod niebem, jak pod wodą Stoi świątynia morską, Cała w sagach północnych. Od modłów pirackich szorstką. Obłoki w błękitie sędziwym Płyną nad nią jak ryby.

Szopka gra kolorami Skradzionymi burzynom I płonącym okrętom, Która na morzach giną. Ostra gotycka wieża W niebo, jak sztorm, uderza.

A kiedy zmierzchn nadciąga I gasną wszystkie kolory. Kościół-okręt odpływa W podgórską noc jak wieloryb I gwiazdy wysokie muska Prastara jego łuska.

Kościół konungów i skaldów. Przeniesiony z Norwegii, Ma w sobie ciszę, którą Znajdą pradawne śniegi: Mew zmarłych ciszę białą, Podobną pianom i skałom.

Włodzimirz Słobodnik

IZABELA CZERMAKOWA

# FILM, UTOPIA I RYŻ

Ryż na Węgrzech? W wyobraźni Polaka ryż kojarzy się przecież nieodłącznie z Dalekim Wschodem, z drobną postacią skośnookiego chłopca, który w poacie czola wydziera małym, nawodnionym półkom swoje codzienne pożywienie. Ryż — to wizja spiętrzonych, szpiczasto zadartych dachów pagody, to rykzące zaprzęgnięte w kulisy — szybkoobiegaczy, to złote rzeki i dzonki, unoszące piramidy worków do wielkich portów, gdzie na srebrne ziarno czekają transatlantyckie statki. Ryż — to Conrad i egzotyka, to niepokój wielu dwunasto- i trzynastoletnich chłopców polskich, krążących w gdańskim porcie dokoła gmachu z fantastycznym napisem: „Luszczarnia ryżu”.

Pojęcie nasze, uwarunkowane podręcznikami szkolnymi dzieciństwa, doznało rewolucji. Bo to na Węgrzech, w kraju tak bardzo nam geograficznie i politycznie bliskim — rozpościerają się przed naszymi oczami długie, niekończące się wodne lany, przerywane „ziemną” miedzą; pod mieniącą się w strumieniach rannego słońca, zmaszczoną wiatrem osłoną wody — kieliszki węgierski ryż.

Jesteśmy nad Cisą. Rzeka wiję się kapryśnie po szarej i jakby niechętnie zyciu nizinie, drzewa są tu nieliczne i skarlałe. Krajobraz całkiem odmienny od widoku znanych całemu światu Węgier — kraju pól, winnic i sadów.

Weseli i opaleni młodzieńcy w robotniczych kombinacjach obskurnych motorów i pompy, rozlewające wody Cisy na rozległe pola ryżowe. Turkot maszyn i szum iskrzącej się, spienionej wody — nie zagłuszają jednak pisków i świergotu licznych ptactwa wodnego, najmlodszych i najświeższych „lokatorów” tej polaci kraju. Każdej przebiegającej słonce czy dzikiej kaczce towarzyszy spojrzenie i uśmiech człowieka; stary chłop pokazuje z dumą bobicianie gniazdo na dachu swej glinianej chaty; po międzywodnym wale kroczy z powagą czapla.

„Co tu było dawniej?” — pytamy — „Nic. Nieużytki. Kwaśna gleba. Nędza” — wyjaśniają nawodniacze. „Widzieliście węgierski film pod tytułem „O pięćdziesiąt?” — pyta jeden z robotników. „To działo się właśnie tutaj”.

Film, o którym mowa, osnuty na tle powieści Pawła Szabo wedle scenariusza Aleksandra Dallosa, jest najwyższym osiągnięciem artystycznym młodej węgierskiej sztuki filmowej. Grany był w całym kraju, dotarł do najbardziej zapadłych wiosek, wszędzie — bez względu na poziom kulturalny widzów — wywierał wrażenie wstrząsające. Film ten to realistyczny obraz zwycięskiej walki chłopskiej rodziny z obszarzaniem i przyrodą — o wodę dla „pięćdziesiąt”; Kreacje aktorów grających główne role: młodego chłopca i jego żony, pozostaną na długo w pamięci widzów. Tak prosto, szczerze i bez cienia patosu grać mogą jedynie ludzie, znający życie chłopackie do głębi. Odtwórcą głównej roli jest młody człowiek, pochodzący z tych okolic. Dowiadujemy się, że była to jego pierwsza rola. Dzisiaj — Adam Szirtes jest już uczniem Wyższej Szkoły Dramatycznej i wielką nadzieją Węgierskiego filmu.

Obermayera, wybitnego uczonego i niestrudzonego badacza węgierskiej kultury rolnej. „Ziarno na zasiew” — to był problem pierwszy i wcale nie łatwy do rozwiązania. Obermayer i jego współpracownicy nie mogli liczyć na pomoc, czy subwencję ówczesnego państwa, musieli dać sobie radę sami. Węgry importowały ryż luszczony, Obermayer skonstatował, że z każdego oetnara ryżu sprowadzanego z Dalekiego Wschodu odpada 10 proc. „za nieczystości”, w czym znajduje się spora ilość ziaren nieluszczonych, doskonałych na zasiew. Grupa „mania-

było — jak na ówczesne możliwości bardzo dobre.

Po wyzwoleniu Węgier i przejęciu władzy przez lud, uprawę ryżu rozpoczęto planowo i z olbrzymim rozmachem.

Plan trzyletni głosił konkretnie: „Węgry będą pod względem produkcji ryżu w ciągu trzech lat samowystarczalne”. Urządzenia nawadniające powstawały nie tylko na terenach pomiędzy Dunajem i Cisą, lecz także na zachód od Dunaju, w okolicy Adony i Ercsi. — 14 000 hektarów ziemi węgierskiej rodzi dzisiaj ryż. Wyprac-

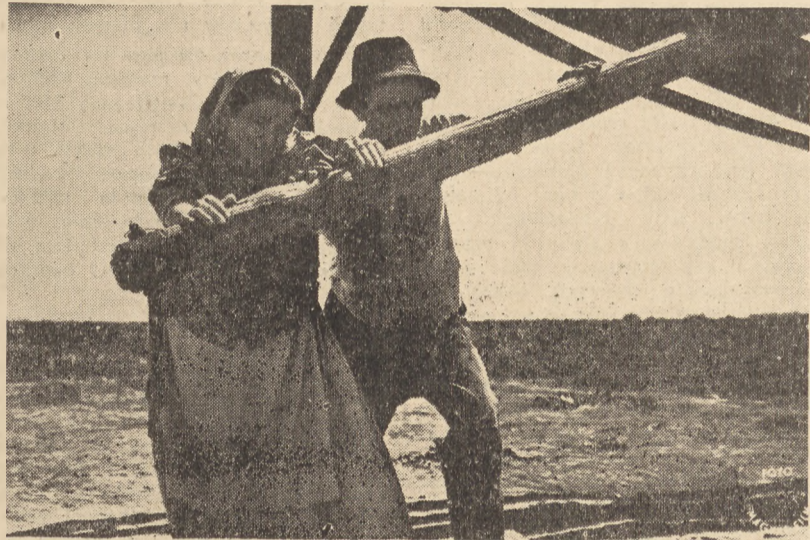
trwale susze — istniało wiele hektarów „kwaśnej gleby”. Ziemi te niezdatne pod żadną uprawę — były nędznym pastwiskiem dla chudych kóz, najuboższych w całym kraju wieśniaków. Węgierscy agronomowie i technicy, rozpoczęli w ostatnich latach nawodnianie tych jałowych ziem i uzyskali nowe, nadszpodziewanie dobre tereny pod uprawę ryżu. Nasi młodzi rolnicy, robotnicy Państwowej Stacji Motorowo-pompowej nad Cisą powalili na obie łopatkę — odwiecznego w tej części kraju upióra głodu. Nie dawno stary mieszkaniec tej ziemi z dumą pokazał nam dzisiaj bociana, zwiastuna szczęścia dla jego omszałej strzechy. Bo nawodnione pola ryżowe — nie tylko ryż rodzą; dzięki pewnemu systemowi, udało się wprowadzić na polach ryżowych hodowlę karpia. Z 33 hektarów wyłowiono w r. 1947 16 wagonów ryb, które wpuszczone następnie w „wody żywe” zaaklimatyzowały się w nich doskonale. Pod wpływem nawodnienia zmienia się krajobraz i klimat: najbardziej jałowa ziemia już po jednorocznym nawodnieniu nadaje się w ciągu następnych czterech lat pod uprawę żyta, jęczmienia i owsa; martwa cisza nieużytków ustępuje miejsca ptasim rozgwarom, ponure twarze ludzkie uczą się uśmiechu.

Z końcem „trzyłatk” zdobyła Węgry nie tylko zapowiadana „ryżową samowystarczalność”, lecz uzyskają poważną nadwyżkę przeznaczoną na eksport. W rezultacie gospodarki planowej, ryż węgierski będzie znacznie tańszy niż produkt importowany z Dalekiego Wschodu i podejmie z nim zwycięską konkurencję.

W roku 1933, za czasów Horthy'ego debatowano w parlamencie węgierskim nad możliwościami uprawy ryżu na Węgrzech. Ówczesny minister rolnictwa, a zatem najwyższy autorytet w tych sprawach — wyrzekł wtedy następujące wielkopomne słowa: „Węgierski ryż urodzi się jedynie w krainie marzeń niedoświadczonych utopistów”.

Utopie kryją jednak niekiedy błogosławione i niezmiernie możliwości: węgierski ryż jest tego najlepszym dowodem.

IZABELA CZERMAKOWA



Scena z filmu „O pięćdziesiąt”

ków” węgierskiego ryżu zgłasza tedy wielu firmom importerskim gotowość bezinteresownego oczyszczenia ryżu za pomocą maszyn Trieura, oddzielających starannie produkt luszczony od nieluszczonego i odpadków. Dwie oferty „chwyciły”; Obermayer i towarzysze otrzymują 60 q do „obróbk”, uzyskując w ten sposób niewielką ilość ziarna dla pierwszych prób uprawy ryżu na Węgrzech.

Drugi problem, jaki się wyłonił, było to uzyskanie terenu pod nawodnienie i zasiew. W grę wchodziły jedynie tereny bezwartościowe, niezdatne pod uprawę innych zbóż, „ziemię niczyje” lub takie, które można było od zdziwionego właściciela nieuczynku za grosze wydzierżawić i nawodnić za pomocą jak najprostych urządzeń. Musiano przy tym postępować ostrożnie, aby nie narazić się wielkoziemiańskiej, konserwatywnej i niechętniej wszelkim eksperymentom „opinii publicznej”.

Obermayerowcy odpowiednio tereny znaleźli, nawodnili i obsiali. Mieli szczęście: zasiew pochodził z Kantonu, którego szerokość geograficzna odpowiada w przybliżeniu położeniu Węgier. Dobre wyniki prób ośmieliły inicjatorów akcji do głębszych, na większą już skalę podjętych począwszy na terenach położonych na wschód od Cisy, w okolicach miasta Szeged i w dolinie liczących rzeczek Körös. Obszar objęty zasiewem ryżu wynosił w roku 1931 — 55 hektarów.

Pierwszy rok uprawy przyniósł rozczarowanie i przynębnienie. Teoretycznie wykształceni fachowcy przystąpili z zapalem do nowego i twó-

wano system najodpowiedniejszych dla danej okolicy urządzeń nawadniających, wyhodowano też i przystosowano do miejscowych warunków gatunki nasienia ryżu. Problem nasion był swego czasu przedmiotem żarliwych polemik i gorących dyskusji: wyszli z nich zwycięsko chłop-rolnik z komitatu Bihar, który — w oparciu o naukowe teorie i własne doświadczenie — uzyskał ziarno szlachetne, doskonale przystosowane do węgierskiej gleby i klimatu.

Ryż węgierski ma dla gospodarki rolnej Młodej Republiki Ludowej znaczenie wprost życiodajne; na Węgrzech — nawiedzanych często przez długo-

JAN REYCHMAN

## PETŐFI W LITERATURZE POLSKIEJ

Pierwsze zainteresowania się Petőfiem w Polsce wiążą się z ciekawą postacią Seweryna Duchńskiego (1816 — 1905). Seweryna Duchńskiego, z domu Zochowska I-o voto Pruszkowa, uczennica K. Wóycickiego, później po śmierci pierwszego męża, wydana za znanego publicystę emigracyjnego i twórcę oryginalnych teorii Duchńskiego, była jedną z najciekawszych osobistości kobiecych w Polsce XIX w. Wszelkierne zainteresowania łączyła ona z niezwykłą do schyłku życia pracowitością. Literaturze Polskiej przyswoiła szereg arcydzieł zagranicznych jak „Cyd”, „Kalewala” i t. Ona też, na emigracji w Paryżu zainteresowała się narodem węgierskim, który po bchaterskiej walce przeciw przemocy w latach 1848 — 1849 cieszył się wówczas w demokratycznych kołach Zachodu dużą popularnością. Wyszła wówczas w Paryżu znana książka Boldény'ego (Pawła Szabo), „La Hongrie ancienne et moderne” — pendant do podobnej książki Chodźki „La Pologne”. Ta książka wzbudziła zainteresowanie młodej autorki Węgrami, zaczęła też tłumaczyć szereg przełomowych dzieł, w tym „Bucsu” (Tol-di Este'e) Eotvösa, „Sander Petőfi w Polsce”. O stosunku Petőfi'ego do Bema jest bchaterska A. Divékiego „Bem a Petőfi” z niektórymi przekładami Langeo; o Petőfiem ogólnie mówią wspomniana stara broszura Zippera.

Całości zainteresowań Petőfiem w Polsce poświęcono u nas szereg rozpraw; o przekładach pisał Jerzy Pogonowski „Sander Petőfi w Polsce”. O stosunku Petőfi'ego do Bema jest bchaterska A. Divékiego „Bem a Petőfi” z niektórymi przekładami Langeo; o Petőfiem ogólnie mówią wspomniana stara broszura Zippera.

Pobyt wielu Polaków na Węgrzech w okresie ubiegłej wojny światowej przyczynił się znów do spopularyzowania poezji Petőfi'ego wśród Polaków. Pajawili się nowe przekłady T. Fangrata, A. Bahdaja (Kota J.), Z. Czajkowskiego, K. Hlakowiczówny. Często po raz drugi, czasem nawet po raz trzeci przekładano te same utwory; nie wszystkie one stoją pod względem artystycznym na poziomie dawnych przekładów Sabowskiego czy Langeo; atulem nowych tłumaczy było to, że opanowali język węgierski i tłumaczyli bezpośrednio z oryginału, podczas gdy dawni tłumacze (z wyjątkiem poligloty Gawronskiego) w większości wypadków posługiwali się tłumaczeniem zwykle niemieckim.

Przekłady wojenne Petőfi'ego ogłaszane były w ukazujących się wówczas w Budapeszcie czasopiśmie polskich „Więści Polskie”. „Materiały Obozowe”, „Tygodnik Polski”. Wiele przekładów dawnych i nowych zawiera wydana w r. 1943 w Budapeszcie (na powielaczu) Antologia poezji węgierskiej od XIV do XIX wieku.

Rok obecny, jubileuszowy rok Petőfi'ego znów przypomniał postać jego Polakom i pozwala na spojrzenie wstecz i należyta ocenę niezwykłej w Polsce popularności wielkiego poety i bohaterka o wolności i demokrację, adiutanta Bema, Aleksandra Petőfi'ego.

JAN REYCHMAN

## ALEKSANDER PETŐFI (1849 — 1949)



Sto lat temu 31 lipca 1849 r. w bitwie pod Segesvarem — walcząc w szeregach węgierskiej armii rewolucyjnej, dowodzonej przez generała Bema — poległ wielki węgierski poetarewolucjonista Aleksander (Szandor) Petőfi. Petőfi zginął mając zaledwie 26 lat, lecz zostawił ogromną spuściznę literacką; składa się na nią około tysiąca wierszy, kilka większych poematów, powieść, sztuka sceniczna i liczne artykuły publicystyczne. Ideologicznie twórczość ta, czerpiąc świadomie wzory z węgierskiej poezji ludowej, wyraża to, o co młody poeta walczył z bronią w rękę: tęsknotę do wolności narodowej i społecznej. Petőfi rozumiał, że wynik walki o wolność i sprawiedliwość społeczną na Węgrzech zależy od sił postępu na całym świecie i dlatego jego twórczość przenika nie tylko troską o naród węgierski, ale o losy całej ludzkości.

I w jednym ze swych najsłynniejszych poematów, w którym proroczo przeżywał swoją śmierć na polu bitwy, Petőfi po raz pierwszy bodaj w poezji opiewał nowy symbol walki ludu pracującego na całym świecie: czerwony sztandar. Nie tylko o nienawici do wroga rewolucji 48-go roku, ale o temperamencie rewolucjonisty, o ludowych źródłach twórczości mówi taki oto czterowiersz Petőfi'ego:

*Jak zdrowie Jasnie Panów? Jakże wam się żyje?  
Może krawat nadto wam uciska szyję?  
My wam inny krawat szykujemy, szelmy,  
Prawda, nie szykowny, ale za to szczelny.*

Twórczość Petőfi'ego była przez wiele lat fałszowana i zakłamywana, przedstawiano go zarówno na Węgrzech jak za granicą wyłącznie jako twórcę namietnych pieśni miłosnych, a część jego poematów, wyrażająca cierpienia i radości ludu węgierskiego, stała się pieśniami popularnymi „nieznanego autora”. Obecnie w związku ze stułeciem śmierci Petőfi'ego w ludowych Węgrzech odbywają się wielkie uroczystości.

ALEKSANDER PETŐFI

## MOJ PEGAZ

Pegazem moim nie angielski koń,  
Wysmukły, wiotki, z szudlową nogi;  
Nie moim stępką meklemburskich błon,  
Niedzarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,  
Węgierski rumak, krwi madszarskiej czystej;  
Z rozkoszą w słońce swój zatapia wzrok  
W zwierciadle jego sierści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół,  
Jak konie stadnin i zawodów pańskich;  
Wzrósł bez wędzidla, karmą stepych ziół,  
Jam go na piaskach chwytał kiskzumańskich.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,  
Lecz tylko prostą okrył go derzycą;  
A gdym go dosiadł, w lot się puścił wnet,  
O! bo mój kary — krewny z błyskawicą.

Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step,  
Bo tam wzrósł dzielny, bo tam był zrodzony;  
Gdy w pusztę zmierzam, w górę wznosi łeb,  
Rży, kopie, parska, wietrząc lan zielony.

Gdy dom napotkam wśród pól i łąk,  
A przed nim dziewcząt jako pszczołek roje,  
To biorę kwiatek z najpiękniejszych rąk  
I jako wicher pędzę w stepy moje.

A w tym polocie na rumaku mym,  
Co by w świat inny na mój głos mknął cwałem,  
Lśni piana, para bucha zeń jak dym,  
Lecz nie znurzeniem kipi on: — zapalem!

O! nie tak prędko trud go zwali z nóg,  
I nie tak prędko zechee on wytchnienia;  
Bo wiele jeszcze przybyć musi dróg,  
Nim dotrę granic mojego zyczenia.

Więc pędź, Pegazie, koniu drogi, pędź!  
Przez skały, rowy, naprzód! dalej, dłużej  
Aż tam gdzie wszelka kończy się już chęć,  
Pędź, mój Pegazie, pędź na skrzydłach burzy!

Tłumaczył Władysław Sabowski



Badanie kłosów ryżowych przez fachowca

Przysłowiowa „chlopska dola” uległa zasadniczej zmianie. Przed dzieckiem węgierskie łwi otworzył się szeroki świat wiedzy i sztuki, na martwych zaś nieużytkach i suchych stepach rośnie ryż.

Młodzi ludzie z Państwowej Stacji Motorowo-pompowej są członkami Węgierskiej Partii Pracujących; o swojej robocie mówią chętnie i z entuzjazmem. „Problem ryżu” znają na wylot i dążą się, że przybyśnie z Polski okazują zainteresowanie dla ich wynalazku. Przy stole węgierskiej karczmy słuchamy — rozłożonej na kilka młodych głosów — opowieści o węgierskim ryżu.

Począł go kryzys światowy lat 1980-31 i uparta myśl Franciszka

czego dzieła, ale wykonanie pozosta-wili ręką najemnego, niedoświadczonego i nie ufającego „nowinkom” robotnika rolnego. W okolicach Szegedu już po dwóch latach zrezygnowano z dalszych prób, tylko nad rzekami Körös eksperyment się udał.

Tak rozpoczęła się historia węgierskiego ryżu.

W roku 1944 nad trzema rzeczkami Körös 2 750 hektarów uległo już systematycznemu nawodnieniu, wy-walczono też no nowo nawodnienie okolic Cisy. Za pomocą prymitywnych służ, unoszących z rzeki 5 m sześciennych wody na sekundę nawodniono 2250 hektarów pól ryżowych. Jesienią 1944 roku zbierano ryż na 5 tysiącach hektarów ziemi węgierskiej, żniwo zaś

JAN ŚPIEWAK

## Wiersze Pawła Herta

W opinii ustalili się ostatnio walszywy sąd o „grupie klasycznych poetów Kuznicy” — Jastruna, Wazyku i Hertz. W rzeczywistości poetów tych nie łączy, chyba to że utwory poetyckie zamieszczają przeważnie w tym piśmie.

Twórczość Pawła Herta od pierwszych tomików aż do ostatniego wydanego tomu „Małe ody i treny” biegła dość konsekwentnie ukazując sens poetycki odrębny od poezji Wazyka i Jastruna. Poezja ta przypominała przedwojenną twórczość Iwaszkiewicza i Napierkiewicza, odznaczała się dużą starannością w opracowaniu wiersza i przeważnie zajmowała się tzw. artystowską problematyką. Dopiero ostatnio wydany tom wierszy Herta stanowią pewien wyłom w dotychczasowej jego drodze poetyckiej, wnosząc sporo nowych elementów, którym nie tylko warto się przyjrzeć, ale też z którymi trzeba koniecznie podyskutować.

Co oznacza ta książka? Jak jest jej miejsce w naszej, że się tak wyrażę, geografii poetyckiej?

Zacznijmy od ostatniego zagadnienia. Powiedźmy sobie wprost. Na tle rozwoju poezji naszej po wojnie, a zwłaszcza w ostatnich latach, wobec wielkich i odpowiedzialnych zadań, jakie narzuca jej nowa rzeczywistość przemian — droga jaką wybrał sobie Paweł Hertz, jest drogą bczną, odbiegającą od ogólnego poetyckiego nurtu, który coraz wyraźniej daje się już dostrzec. Poeta w wierszach swoich wielokrotnie podkreśla i akcentuje swoją samotność. Cała ta jednolicie skomponowana książka jest przynajmniej się do samotności i jej wynikiem. A jednak jest to książka ciekawa nie tylko dla krytyki poetyckiej ale też dla wiedzy o kulturze naszego czasu.

Wiersze z ostatniego tomu Herta stanowią poetyckie uzupełnienie jego „Sednu” poruszając niejednokrotnie na innej płaszczyźnie wiele zagadnień, jakie dostrzec można w tych wierszach, którzy zajęli się po wojnie problemem społecznej pozycji inteligenta (Brandys, Dygat), Tom Herta jest swego rodzaju lirycznym pamiętnikiem inteligenta wychowanego na określonej kulturze właściwej klasie, z której pochodzi. Ornamentalny i stylizowany klasycyzm Herta jest zjawiskiem niezmiernie charakterystycznym zwłaszcza dla przedwojennego środowiska inteligencko-mieszkańskiego z jego dążnościami do artystycznego elitaryzmu, z jego swoistym pojęciem piękna.

Hertz nawiązuje świadomie do klasycznych form grecko-rzymskiej poezji zwracając baczną uwagę na kunststwą robotę poetycką. Wiersze jego są dobre, logicznie zbudowane. Nie ma w nich rozgadania, słowo poetyckie użyte jest sensownie. Jest w tych wierszach pewna surowość, celowa oszczędność i dojrzałość poetycka. Jakże daleko odbiega one pod tym względem od wielu utworów, z jakimi spotykamy się często na łamach czasopism i gazet. Tylko, że te bezprzeznaczone walory poetyckie stając się niekiedy celem samym w sobie, wciągają poetę w głębokie gąszcz powikłań ideologicznych, z których wydobywając się stopniowo będzie musiał zapewne w przyszłości zrewidować swoją dotychczasową estetykę poetycką. Na razie Hertz pragnie tylko przystosować swoją dawną poetykę do nowej tematyki, do problemów, które narzuca życie. Ale wtedy rodzą się i pogłębiają konflikty.

Poeta chce być wiernym swym poprzednim artystycznym ideałom — szuka doskonałości poetyckiej i znajduje ją nie w tym co dzieje się, ale w zamarych brylach posągów, w samej sztuce, która widziała w dystansie historycznym nabiera swego charakteru wiecznej Sztuki przez wielkie S. To, co dzieje się dokoła poety jest dla niego zbyt tragiczne. Zywemu światu przemian przeciwstawia jest poezja rzeczy zastępy, muzyka i malarstwo.

„Świat doskonały widzieliśmy razem wśród czterech ram”

powiada poeta we fraszce poetyckiej o Breughelu, malarzu tragicznej groteski. Przejrzysta, pięknie zbudowana zwrotka staje się przeto dla poety nie tylko ucieczką w wymiary innego, doskonałego świata, ale wyraziłką prawd artystycznych, które jedynie zdolne są przetrwać czas pokoju i czas wojny. A więc artystyzm i tylko artystyzm stanowi najistotniejszą wartość, której poeta powinien pozostać wierny. Wszystko, co dzieje się na świecie, przemienia a pozostaje tylko piękna sztuka. Gdy czas burzliwy uspokoi się, do niej, do „gładzonych końców wierszy”, do „horacjanekskich strof reguły” powróci ludzkość się skłoniła sztuki. Taka jest w zasadzie pierwsza i podstawowa teza, przewijająca się poprzez większość utworów Herta. Stąd rodzi się sceptycyzm poety w stosunku do otaczającej go rzeczywistości, smutek przechodzący niekiedy w nowy katastrofizm. Powiastają się często tego rodzaju obrazy, jak „ptak żałobny u strupu skrzeczy”, albo nie mniej charakterystyczne pytanie:

„Więc po co idę ziemią deszczową i ziemią ruin, jeśli gwiazdy i piramidy czas bez me — jak dom — buduje?”

Zwłaszcza ten ostatni motyw jest niemalże przewodnim motywem tomu. W różnych wariantach i w różnej formie, w przekonaniu o płynności i czułości wszelkich zjawisk oznacza on indyferentny stosunek do tych wszystkich rzeczy świata, które nie są sztuką. Ale równocześnie rosną i pogłębiają się wątpliwości co do słuszności tych tez i wtedy właśnie następuje charakterystyczne dla poety rozdwójnienie. Poeta tęskni do wyidealizowanego piękna, a równocześnie tak bardzo tkwi w ruinach miasta swoich przeżyć, że bez nich trudno mu byłoby istnieć. Marmur i ruiny zburzone miasta i płożna pięknych malowideł, rozmowa z muzą („jak ptak żałobny muza nad mym czołem lata”), pojmowanie życia jako podróży odbywanej w starożytności karecie — to wszystko tworzy zespół kompleksów tak ważnych przez swoją typowość i tak ciekłych wskutek naporu nowej i aprobawnej zresztą przez poetę rzeczywistości. Oschle na pozór wiersze Herta sprawiają wrażenie umyślnego wydobycia przez poetę kompleksów, aby postawiwszy je wobec siebie w całej ostrości łatwiej się od nich uwolnił. I dlatego właśnie tak często obok chęci pozostania wiernym poprzednim swoim ideałom pojawia się poczucie koniecznej ich zdrady. Co więcej, pojawia się ostro zaznaczony motyw winy i kary. Przy czym pojęcie są one znowu dwójnie. Karę nałożyć na siebie chciałby poeta za to, że nie potrafił pozostać na poprzednich swoich pozycjach i za to, że w ogóle na takich właśnie pozycjach się znalazł. Podobne konflikty ideologiczne są bardzo typowe dla pewnego odłamu radykalizującej inteligencji. Hertz dał im wyraz głęboko ludzkich przeżyć psychologicznych w języku liryki. To łama nie się wewnętrzne poety, ta swego rodzaju liryczna powieść ma swoje znaczenie w ogólnym obrazie naszej współczesnej poezji. Oczywiście tego rodzaju wiersze nie mogą być drogowskazem dla naszej poezji. Książka Herta jest dla tego ciekawa, że jest niemalże jedyna i samotna. Kompleksy, które gnębią poetę nie powinny być zbyt uogólniane, ponieważ ani pokolenie poetyckie, które Hertz reprezentuje ani nawet całe środowisko inteligencji, z którego wyraza, nie jest takie. Procesy w nich zachodzące bieżą innymi drogami. Są bardziej dynamiczne i bardziej wyklarowane.

Cała książka składa się z trzech rozdziałów: „Małe ody”, „Przekłady” (Jean Cocteau, Max Jakob i Valery Lerboud), oraz „Treny”. W „Małych odach” problematyka którą próbowałem określić poprzednio zaznaczona jest dosyć ogólnie, nie mają one takich spójnych wewnętrznych, jakie dostrzec możemy w Trenach będących nawiązaniem do owidiuszowych Tristiw. Jeśli poprzednio poeta rozumiał, że „fortepianem (nie można) zatrasować bramy lat”, jeśli szczątki swego świata porównywał do „straconych murów Troi na których Priam błądzi”, to w Trenach podkreślone to będzie jeszcze dobitniej:

„czas jak utożny muzeum zamyka na klucze stare piękności świata”.

Poecie pozostanie wobec tego jedynie „spisywać najdokładniej dawne obyczaje” i „nieład świata, który wschodzi”. „Stary strząskany świat” przestaje istnieć. Wiek cóż pozostaje? „Pokrewieństwo z wyboru”: Goethe i Horacy, którzy mogą poetę ocenić swoim artystyzmem. Pozostaje ucieczka w przeszłość?

Przed wszystkim jednak zdumiewa, zadziwia, oszołama niemal triumfalny pochód chłopca przez muzykę. Mija już piąty rok mody na „małego Mozarta”. I proszę — dawno zapomniano na salonach o Nowaku, o Wilczku, o zwinieciu wolnomularstwa, o nowej aterie Newachowicza i dwu ostatnich skandalach Roźniackiego: jednym finansowym i jednym romansowym. A o „małym Mozarcie” nie zapomniano. Pod oficynę Kazimirowskiego Pałacu nadal zajeżdżają karety i kabriolety. Nie tak często i z byle kaprysu jak dawniej, z większą za to rewerencją i uszanowaniem. Niech tylko pójdzie po Warszawie wiadomość, że Fryderyk ma nowy repertuar, drzwi się urywają od lokajczyków z zaproszeniami, z listami; często gęsto Jaśnie Oświecone i Jaśnie Oświecenią tygrysy się na drugie, chopinowskie, piętro. Gdy się na przykład dowiedzą, że Fryderyk skończył pracę nad koncertem Kalkbrennera w drzwiach profesorskiego mieszkania pewnego popołudnia spotkali się... ochmistrz dworu, hr. de Moriolles z... księżną Luizą Czwetwyrską! Właściwie można by sądzić, że w Warszawie kariera muzyczna Fryderyka jest faktem już nie tylko zdumiewającym, lecz i nieodwracalnym — o cztymastoleim młoda mówi się jako o najlepszym fortepianistce stolicy.

Pan Mikołaj już już dobrze, że Fryderykowi nie grozi „kariera” maeistrów Zywnych, Wejntertów czy Krogulskich. Fryderyk zdystansował w ciągu omych pięciu lat samego mistrza Würfela, dojrzała, rzeczywista znakomitość. Z drugiej jednak strony jest cze ciągle trudno panu Mikołajowi zgodzić się z wnioskami, który owe fakty nasuwają: Fryderyk Chopin — fortepianista. Jak przed trzema i czterema

laty profesor uchyla się od takiej myśli. Bo chociaż przyjaźni się z luminarzami stołecznego świata artystycznego i sam nawet pisuje francuskie poezje, to jednak nie należy zbyt pochopnie wierzyć w jego szacunek dla sztuki. Czym bowiem jest sztuka w świecie tych ludzi, wśród których chce widzieć swego jedynego syna za lat piętnaście, czy dwadzieścia? — mniej lub więcej lubianą, lecz zawsze blachą rozrywką. Książę namiestnik Antoni Radziwiłł pisuje muzyczne utwory — to prawda. Lecz jest namiestnikiem. Prezydent Mostowski ceni wielce tragedie Rasyna i sam rzekomo pisuje, lecz jest prezydentem. Sztuka jako zawód? jako profesja? Nonsens — dla nich zawsze będzie miłym, bo miłym ale tylko... niby blaźnięciem. Na śmiecie podpisywanie się pod obrazem, wierszem czy polonezem może sobie pozwolić ktoś z ich kregu. Takim jednak podpisaniem nikt nowy nie zostanie w ów krąg przyjęty — nie tędy droga do awansu profesorskiego syna, który by godnie przedłużył awans syna... chłopa-winogradnika.

Przeźródle nomme de Dieu, Fryderyk jest niezwykłym chłopcem. Powody do dumy i nadziei wzbogaci jeszcze jeden szczegół — oto pierwszy rok swej licealnej nauki Fryderyk zakończył tak chlubnie, że na końcoworocznym popisie otrzymała zaszczytną nagrodę: oprawy w czerwone, złotem wyłaczane, płótno „Wykład statystyki dla uczniów szkół wydziałowych i wojewódzkich” Monge'a — na karcie tytułowej łaciński napis:

Moribus et diligentiae Frederici Chopin in Examinio publico Die 24 Julii 1824 Consilium Supremum Rerum Sacrarum et Institutionis Publicae.

Oto tak — moribus et diligentiae! Myśląc o przyszłości jedynego syna Mikołaj ma wielokrotne i wszechstronne prawa do nadziei i dumy. Czemuż więc wspomina tu, że jedyny syn jest jego dumą, nadzieją i troską?

To proste — ponieważ nie trudno już dziś zgadnąć, że przyszłość Królestwa i przyszłość Europy nie zgotują wygodnych losów Fryderykowi Franciszkowi Chopinowi. Nie pomogą tu resztki wiary w liberalizm Aleksandra Romanowa, ani nawet lojalny niby sposób plotkowania o łajdactwach Wielkiego Księcia, senatora czy generałów takich lub siaków.

Rok szkolny, za który Fryderyk otrzymał nagrodę — ów czerwono oprawy „Wykład statystyczny” Monge'a — rozpoczął się we wrześniu 1823, zaś jeszcze w lipcu rozpoczęła swe sławne prace Komisja Śledcza dla spraw akademickich wileńskiego uniwersytetu... 14 września aresztowano w wyniku omych prac delatora wileńskiego Filaretów — Jankowskiego. W pierwszej połowie listopada więzienie stanu, na które przeznaczono klasztor Bazyliańców, gościło już w owych murach wszystkich niemal Filaretów z Tomaszem Zanem i Adamem Mickiewiczem na czele. Wszystko zaczęło się od tego, że jeszcze w maju piętnastoletni Michał Plater, uczeń wileńskiego

8)

Pan Fryderyk Franciszek Chopin — syn zasłużonego pedagoga — uczeń, już dzisiaj, Liceum Warszawskiego, śmiało może być uznany za wielką dumę i wielką nadzieję swego ojca. Nikt zaś tu prawdy nie brajnie ani nie wypiększa. Co krok, to powód do dumy — w każdym na nowo objawiającym się talencie Fryderyka powód do nadziei.

Oficjalnie pana Mikołaja interesują najbardziej synowskie „postępy w nauce”. Fryderyk ziewa, leni się, biorąc książki do ręki ma w oczach sporo, sporo nudy. Czasem trzeba go nawet karcnąć i upominać. A równocześnie wszelkie monitorowanie jest z reguły jakiegoś typu nonsensu: Fryderyk przykłada do nauki ze starannością i posłuszeństwem. Wystarczy przejrzyć rejestr jego not: znakomite, znakomite! Tylko... właśnie owa nuda. Nie można nazwać jej nawet lekceważeniem — o ile jest nim, to nieświadomie. A jednak — choć wbrew zdrowemu rozsądkowi — czasem drażni. Profesor czuje w swym synu całkowitą obojętność do spraw, które stworzył jego karierę, jego wysoki awans społeczny. Gramatyki, słowniki, słówka, teksty? Fryderyk kilka razy został podczas lekcji przyłapano na zajmowaniu się rzeczami, które do treści wykładów miały się jak pięść do nosa! A więc: na lekcji łaciny dwukrotnie przyłapano go nad nutowym papierem — na botanice czytał wyrwaną skądś partyturę mozartowską — gorzej jeszcze! na wykładzie samego rektora zajęty był rysowaniem karykatury... wykładowcy!

Panu Mikołajowi wspominali o tym profesorowie z uśmiechem, on z uśmiechem słuchał i na śmiechu się kończyło. Ale na ostatek skończyło się płaczem: profesor osobiście zaskoczył pana Chopina-junióra nad portretem Tytka Wojciechowskiego, w chwili w której pan Chopin-senior pouczał o starofrancuskim piśmiennictwie! Już w domu — po pałmostrze — posła w ruch madame-rozga. A portret? Został skrytnie schowany w sekretarzyku pana profesora. Na pamiętkę — był przecie świętny.

Właśnie — choćby owe portrety, nieuwagi, karykatury, facecje. Nawet tu Fryderyk skrzy się i byszyć talentami. Rysuje jak „zadatek na malarza”. Magnificencja Linde opatrzył swą karykaturę takim podpisem: „Portret dobrze narysowany”. Albo inna znów zdadność — aktorstwo. Lepiej jeszcze niż ołówkiem umie Fryderyk sportretować lub skarykaturować mianą, gestem, słowem. Zgarbił się, zaczął trząść nieco brodą i zaczynać się, na trudniejszych spółgłoskach — wypisz, wymaluj: Magnificencja Linde. Koniecznie poprawia kolnierzyk i czyszczy imaginowane okulary — profesor Brodzinski. Na koniec doczekał się uznania autorytetu wprost znakomitego: w dzień Św. Mikołaja starym obyczajem Fryderyk wraz z niektórymi pensjonariuszami oraz pannami Ludwiką i Izabellą odegrali komedię francuską na cześć Solenizanta. W gronie gości znalazł się też nowy przyjaciel domu, imię Hervé — warszawskiego teatru francuskiego pierwszego komik. Fryderyk wziął sobie rolę, którą pan Hervé śmieszył stolicę do lez przez dwa miesiące. Czy wiecie, że Hervé po ostatniej — domowej, z przesiedradla — kurtynie, począł bić brawo Fryderykowi nie tylko z radością lecz i z najszczerzym entuzjazmem?

Przed wszystkim jednak zdumiewa, zadziwia, oszołama niemal triumfalny pochód chłopca przez muzykę. Mija już piąty rok mody na „małego Mozarta”. I proszę — dawno zapomniano na salonach o Nowaku, o Wilczku, o zwinieciu wolnomularstwa, o nowej aterie Newachowicza i dwu ostatnich skandalach Roźniackiego: jednym finansowym i jednym romansowym. A o „małym Mozarcie” nie zapomniano. Pod oficynę Kazimirowskiego Pałacu nadal zajeżdżają karety i kabriolety. Nie tak często i z byle kaprysu jak dawniej, z większą za to rewerencją i uszanowaniem. Niech tylko pójdzie po Warszawie wiadomość, że Fryderyk ma nowy repertuar, drzwi się urywają od lokajczyków z zaproszeniami, z listami; często gęsto Jaśnie Oświecone i Jaśnie Oświecenią tygrysy się na drugie, chopinowskie, piętro. Gdy się na przykład dowiedzą, że Fryderyk skończył pracę nad koncertem Kalkbrennera w drzwiach profesorskiego mieszkania pewnego popołudnia spotkali się... ochmistrz dworu, hr. de Moriolles z... księżną Luizą Czwetwyrską! Właściwie można by sądzić, że w Warszawie kariera muzyczna Fryderyka jest faktem już nie tylko zdumiewającym, lecz i nieodwracalnym — o cztymastoleim młoda mówi się jako o najlepszym fortepianistce stolicy.

Pan Mikołaj już już dobrze, że Fryderykowi nie grozi „kariera” maeistrów Zywnych, Wejntertów czy Krogulskich. Fryderyk zdystansował w ciągu omych pięciu lat samego mistrza Würfela, dojrzała, rzeczywista znakomitość. Z drugiej jednak strony jest cze ciągle trudno panu Mikołajowi zgodzić się z wnioskami, który owe fakty nasuwają: Fryderyk Chopin — fortepianista. Jak przed trzema i czterema

laty profesor uchyla się od takiej myśli. Bo chociaż przyjaźni się z luminarzami stołecznego świata artystycznego i sam nawet pisuje francuskie poezje, to jednak nie należy zbyt pochopnie wierzyć w jego szacunek dla sztuki. Czym bowiem jest sztuka w świecie tych ludzi, wśród których chce widzieć swego jedynego syna za lat piętnaście, czy dwadzieścia? — mniej lub więcej lubianą, lecz zawsze blachą rozrywką. Książę namiestnik Antoni Radziwiłł pisuje muzyczne utwory — to prawda. Lecz jest namiestnikiem. Prezydent Mostowski ceni wielce tragedie Rasyna i sam rzekomo pisuje, lecz jest prezydentem. Sztuka jako zawód? jako profesja? Nonsens — dla nich zawsze będzie miłym, bo miłym ale tylko... niby blaźnięciem. Na śmiecie podpisywanie się pod obrazem, wierszem czy polonezem może sobie pozwolić ktoś z ich kregu. Takim jednak podpisaniem nikt nowy nie zostanie w ów krąg przyjęty — nie tędy droga do awansu profesorskiego syna, który by godnie przedłużył awans syna... chłopa-winogradnika.

Przeźródle nomme de Dieu, Fryderyk jest niezwykłym chłopcem. Powody do dumy i nadziei wzbogaci jeszcze jeden szczegół — oto pierwszy rok swej licealnej nauki Fryderyk zakończył tak chlubnie, że na końcoworocznym popisie otrzymała zaszczytną nagrodę: oprawy w czerwone, złotem wyłaczane, płótno „Wykład statystyki dla uczniów szkół wydziałowych i wojewódzkich” Monge'a — na karcie tytułowej łaciński napis:

Moribus et diligentiae Frederici Chopin in Examinio publico Die 24 Julii 1824 Consilium Supremum Rerum Sacrarum et Institutionis Publicae.

Oto tak — moribus et diligentiae! Myśląc o przyszłości jedynego syna Mikołaj ma wielokrotne i wszechstronne prawa do nadziei i dumy. Czemuż więc wspomina tu, że jedyny syn jest jego dumą, nadzieją i troską?

To proste — ponieważ nie trudno już dziś zgadnąć, że przyszłość Królestwa i przyszłość Europy nie zgotują wygodnych losów Fryderykowi Franciszkowi Chopinowi. Nie pomogą tu resztki wiary w liberalizm Aleksandra Romanowa, ani nawet lojalny niby sposób plotkowania o łajdactwach Wielkiego Księcia, senatora czy generałów takich lub siaków.

Rok szkolny, za który Fryderyk otrzymał nagrodę — ów czerwono oprawy „Wykład statystyczny” Monge'a — rozpoczął się we wrześniu 1823, zaś jeszcze w lipcu rozpoczęła swe sławne prace Komisja Śledcza dla spraw akademickich wileńskiego uniwersytetu... 14 września aresztowano w wyniku omych prac delatora wileńskiego Filaretów — Jankowskiego. W pierwszej połowie listopada więzienie stanu, na które przeznaczono klasztor Bazyliańców, gościło już w owych murach wszystkich niemal Filaretów z Tomaszem Zanem i Adamem Mickiewiczem na czele. Wszystko zaczęło się od tego, że jeszcze w maju piętnastoletni Michał Plater, uczeń wileńskiego

Fryderyk wykaligrafował na tablicy te słowa: „Vivat konstytucja 3 Maja!” — Przyjaciele pod spodem dopisali: „jak słodkie wspomnienie dla nas rodaków, lecz nie ma kto by się o nią opomniał!” W lutym 1824 zapadł pierwszy wyrok w uczniowskich procesach na litewskiej prowincji — dwu kilkunastolatko skazano na śmierć. Ułaskawiono ich — by zmienić karę na ciężkie roboty forteczne. Procesów takich i wyroków nie zliczysz łatwo...

W Warszawie ów pierwszy Fryderykowsky rok szkolny zapelnia więzienie stanu, na które przeznaczono klasztor Karmelitoów: aresztowania obejmują członków Wolnych Braci Polaków i Lwówiarstwa Patriotycznego. Zadnego wprowadza piętnastoletniego ucznia nie przyłapano na wypisywaniu wiadomości poświęconych konstytucji, lecz zwo to samo — o to samo. O konstytucji.

Konstytucja jest sprawą wolności. Nic dziwnego, że Nowosiłce i Roźniacki walczą z każdą o niej myślą — walczą o swoje dukaty i ruble. Roźniacki walczą w imieniu Zajączków, Szaniawskich, Lubeckich nawet — Nowosiłców w imieniu Paninów i Arakczejewów. Wolność jest zaraziła. Tak — swobody konstytucyjnej, którymi chciałoby cieszyć się Królestwo polskie mogłyby przypomnieć narodowi rosyjskiemu o jego prawach do konstytucji. Arakczejewów i Zajączków łączy wspólna idea: waga wam, narodom, od waszej wolności — waga od naszych dukatów i rubli! Niech więc nikt nie śmie się nawet dziwić aresztowaniom, zryłkom i palkom — zdziwienie jest karalne.

Pan Mikołaj wie, że nie wolno mu głośno mówić o klasztorze bazyliańskim czy karmelickim. Ich progł zresztą nie grozą spokojnemu wykładowcy języka i literatury francuskiej. Któż jednak może zaręczyć, że Fryderyk zechce rozstrzelać kroczyć drogą lojalności i posłuszeństwa? Gorzej jeszcze: któż może zaręczyć, że Warszawa będąc: nadal miastem spokojnym, zasobnym, rozbowianym i rozczajonym?

Dziś kwitną po ogrodach lipy — gąlgie związają ciężko, uwięzione nadmiarem kwieciami. Pod akacjami na Miodowej tłumek gęsty i elegancki — środkiem ulicy tańczy wspaniały siwek fliegeldianta Kickiego, a w sklepie mistrza Gugenuma zegary grają kurant za kurantem na godzinie dwudziestą. Pan Mikołaj pamięta jednak dobrze, że przed dwudziestu laty nad Prażą podniosły się groźne łuny kłęski. Myśląc więc o przyszłości Królestwa i o przyszłości swego jedynego syna nie umie zapomnieć o trojece.

Fryderyk zapowiada powrót z wakacji na dzień 22 września. Miał zjawić się wcześniej, ale Dziewanowscy, u których mieszkał, urzadzili wyścieczkę do Turunja i Gdańska. Cóż za trasą! Z Szafami przez Plock, Rościszów, Turzno, Kozłów, Gdańsk. Potem również piękny jak Gdańsk kopernikowski Toruń z wieżą na bakiere, gotyckim kościołem z 1231 roku, od Krzyżaków fundowanym i... pieriunkami. (Największą impresję czyli alias wrażenie, uczyniły na mnie pier-

dziecko? Po prostu: jako artystyka korzystasz z niemieckiego sezonu w Europie. Z dwójką złego, lepsze już to, niż czamy mundur twojego brata. Untersturmführera Sonnenbrucha. (oduracza tuar po chwili): Tak, Untersturmführer Sonnenbruch to największa hańba mego życia.

RUTH: Takich jak Willi są tysiące. Wychowano ich. Myślę, że byłes bezsilny. Pamiętam dobrze, kiedy wstąpił do Hitlerjugend...

SONNENBRUCH (przerwywając): Widocznie przedtem dałem mu z siebie za mało!

RUTH (zartobliwie): Ja także nie wiele mam po tobie. Mimo to, nie uważam, żebym szczególnie krzywdziła twoje nazwisko. (z uporem, jakby przekonywując samą siebie): Tak. Tak. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

SONNENBRUCH (biorąc ją za rękę patrzy głęboko w oczy): Czy jesteś tego zupełnie pewna, moja córko?

RUTH (ze śmiechem): Przemawia do mnie jak pastor. A ja już dawno wyzwoliłam się z tego zakresu pojęć. Mam swoją własną moralność, wyłączone na swój użytek. (z aluzją): „Stać mnie na to!”

SONNENBRUCH (patrzy na nią zmiaszany): To prawda. Od czterech lat ja, Europejczyk, nie bywam w Europie. Ja, Niemiec, nie chcę bywać w niemieckiej Europie. Tak nie korzystam z zaproszeń moich zagranicznych przyjaciół i kolegów. A wiesz dlaczego? Bo nie umiałbym dzisiaj spojrzeć im w oczy — ja, uczyony Niemiec!

RUTH: W takim razie — wyobrażam sobie co sądzisz o mnie! (ze śmiechem): Bo ja bywam. Dużo bywam w niemieckiej Europie. I nie czuję z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

SONNENBRUCH: Cóż ty, moje

JFRZY BROSKIEWICZ

## KSZTAŁT MIŁOŚCI

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

Cóż wiersz o ołoh-nem? Aszolim jest miodoci

Cyprian A. Nowak

K. Promethidion 1



gimnazjum wykaligrafował na tablicy te słowa: „Vivat konstytucja 3 Maja!” — Przyjaciele pod spodem dopisali: „jak słodkie wspomnienie dla nas rodaków, lecz nie ma kto by się o nią opomniał!” W lutym 1824 zapadł pierwszy wyrok w uczniowskich procesach na litewskiej prowincji — dwu kilkunastolatko skazano na śmierć. Ułaskawiono ich — by zmienić karę na ciężkie roboty forteczne. Procesów takich i wyroków nie zliczysz łatwo...

W Warszawie ów pierwszy Fryderykowsky rok szkolny zapelnia więzienie stanu, na które przeznaczono klasztor Karmelitoów: aresztowania obejmują członków Wolnych Braci Polaków i Lwówiarstwa Patriotycznego. Zadnego wprowadza piętnastoletniego ucznia nie przyłapano na wypisywaniu wiadomości poświęconych konstytucji, lecz zwo to samo — o to samo. O konstytucji.

Konstytucja jest sprawą wolności. Nic dziwnego, że Nowosiłce i Roźniacki walczą z każdą o niej myślą — walczą o swoje dukaty i ruble. Roźniacki walczą w imieniu Zajączków, Szaniawskich, Lubeckich nawet — Nowosiłców w imieniu Paninów i Arakczejewów. Wolność jest zaraziła. Tak — swobody konstytucyjnej, którymi chciałoby cieszyć się Królestwo polskie mogłyby przypomnieć narodowi rosyjskiemu o jego prawach do konstytucji. Arakczejewów i Zajączków łączy wspólna idea: waga wam, narodom, od waszej wolności — waga od naszych dukatów i rubli! Niech więc nikt nie śmie się nawet dziwić aresztowaniom, zryłkom i palkom — zdziwienie jest karalne.

Pan Mikołaj wie, że nie wolno mu głośno mówić o klasztorze bazyliańskim czy karmelickim. Ich progł zresztą nie grozą spokojnemu wykładowcy języka i literatury francuskiej. Któż jednak może zaręczyć, że Fryderyk zechce rozstrzelać kroczyć drogą lojalności i posłuszeństwa? Gorzej jeszcze: któż może zaręczyć, że Warszawa będąc: nadal miastem spokojnym, zasobnym, rozbowianym i rozczajonym?

Dziś kwitną po ogrodach lipy — gąlgie związają ciężko, uwięzione nadmiarem kwieciami. Pod akacjami na Miodowej tłumek gęsty i elegancki — środkiem ulicy tańczy wspaniały siwek fliegeldianta Kickiego, a w sklepie mistrza Gugenuma zegary grają kurant za kurantem na godzinie dwudziestą. Pan Mikołaj pamięta jednak dobrze, że przed dwudziestu laty nad Prażą podniosły się groźne łuny kłęski. Myśląc więc o przyszłości Królestwa i o przyszłości swego jedynego syna nie umie zapomnieć o trojece.

Fryderyk zapowiada powrót z wakacji na dzień 22 września. Miał zjawić się wcześniej, ale Dziewanowscy, u których mieszkał, urzadzili wyścieczkę do Turunja i Gdańska. Cóż za trasą! Z Szafami przez Plock, Rościszów, Turzno, Kozłów, Gdańsk. Potem również piękny jak Gdańsk kopernikowski Toruń z wieżą na bakiere, gotyckim kościołem z 1231 roku, od Krzyżaków fundowanym i... pieriunkami. (Największą impresję czyli alias wrażenie, uczyniły na mnie pier-

dziecko? Po prostu: jako artystyka korzystasz z niemieckiego sezonu w Europie. Z dwójką złego, lepsze już to, niż czamy mundur twojego brata. Untersturmführera Sonnenbrucha. (oduracza tuar po chwili): Tak, Untersturmführer Sonnenbruch to największa hańba mego życia.

RUTH: Takich jak Willi są tysiące. Wychowano ich. Myślę, że byłes bezsilny. Pamiętam dobrze, kiedy wstąpił do Hitlerjugend...

SONNENBRUCH (przerwywając): Widocznie przedtem dałem mu z siebie za mało!

RUTH (zartobliwie): Ja także nie wiele mam po tobie. Mimo to, nie uważam, żebym szczególnie krzywdziła twoje nazwisko. (z uporem, jakby przekonywując samą siebie): Tak. Tak. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

SONNENBRUCH (biorąc ją za rękę patrzy głęboko w oczy): Czy jesteś tego zupełnie pewna, moja córko?

RUTH (ze śmiechem): Przemawia do mnie jak pastor. A ja już dawno wyzwoliłam się z tego zakresu pojęć. Mam swoją własną moralność, wyłączone na swój użytek. (z aluzją): „Stać mnie na to!”

SONNENBRUCH (patrzy na nią zmiaszany): To prawda. Od czterech lat ja, Europejczyk, nie bywam w Europie. Ja, Niemiec, nie chcę bywać w niemieckiej Europie. Tak nie korzystam z zaproszeń moich zagranicznych przyjaciół i kolegów. A wiesz dlaczego? Bo nie umiałbym dzisiaj spojrzeć im w oczy — ja, uczyony Niemiec!

RUTH: W takim razie — wyobrażam sobie co sądzisz o mnie! (ze śmiechem): Bo ja bywam. Dużo bywam w niemieckiej Europie. I nie czuję z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia.

SONNENBRUCH: Cóż ty, moje

niaki” — pisał do Jasia Matuszyńskiego). Pani Justyna namówiła profesora, by zezwolił na opóźnienie powrotu. Wprawdzie za synem tęskno, ale o ileż dzielniejszy i zdrowszy wraca co roku z letnich wycieczek w Szafarni.

W Warszawie będzie wraz z Domkiem już pojutrze. A zatem należy wysprzątać „jego miejsce” — zaciśnię kąt w salonie — przysposobić nową bieliznę, uporządkować sekretarzyk i półkę z nutami, w której na pewno grzebala wścibka Izabella. Pani Justyna jest pedantką, zna logikę sprzątaniam, ma swój wyprobowany od lat system. To jasne — wpięrowi robi się porządku w sekretarzykach, szafeczkach. Potem w ubraniowych szafach. Tertio — śmiecie z podłogi precz, a podłogę wytrzeć należy na mokro. Quarto — miotłką z piór przejechać wewnątrz i zewnątrz mebli. Wreszcie — podłogę przetrzeć na sucho do najpiękniejszego polysku.

A zatem, na pierwszy ogień, idzie sekretarzyk Fryderyka. Od razu poznać, że buszowano tu — oczywiście Izabella. Na szczęście trzy główne szuflady są zamknięte a kluczyki nosi przy sobie pani Justyna. Właściwie sprzątać w nich nie trzeba, trudno jednak oprzeć się chęci przejrzenia po raz dwudziesty czy trzydziesty zawartości owych szuflad.

W środkowej mieszczą się pamiętki zaszczytów i zachwyty. A więc kupa biletów i inwitacji o złoczonych srebrzonych lub purpurowych brzożkach. Nazwiska najświetniejsze. Ale to jeszcze nie! W samej głębi dwa wyszczerzone aksamitem pudełeczka. W jednym złoty zegarek ofiarowany Fryderykowi przez wielką Catalan. W drugim zaś... brylantowy pierścionek. Od kogo? Wystarczy przejrzyć uskładane w szufladzie pisma. Oddolny na bok numer „Gazety korespondenta” z 6 października 1818 — tymczasem znanego nam już pobytu Najjaśniejszej Cesarzowej Matki. Oddolny też „Pamiętnik Warszawski” ze stycznia 1817 — miłości wzmiankę o „Poloniaise... dedie à son Excellence...”. Jest! Numer „Kuryera Warszawskiego” z dnia 7 czerwca 1825 roku. Oto informacja o pierścieniu brylantowym

„Najjaśniejszy Pan raczył najkaskawiej brylantowemi pierścieniami udzielić J. P. Brunnera, wynalazcę instrumentów muzycznych Eolomelodikonu i innych, tudzież J. P. Łukaszewicza, artystę malarza, jakoteż J. P. Fryderyka Chopina, ucznia Liceum

MARIA RZEUSKA

# SPRAWA „CHŁOPÓW” REYMONTA

Uplywa właśnie lat czterdzieści od ukazania się ostatnich tomów pierwszego książkowego wydania „Chłopów”. Jest jakaś siła żywotna w tym dziele, bo po ostatniej wojnie wyszły już dwa nowe wydania. Jedno w 1946 roku dała „Książka” i jedno w tym roku tradycyjni nakładca Gebethner i Wolff. To drugie, oznaczone jako jedenaste, jest częścią całości zamierzonego pełnego wydania pism. Opracował ją i przygotował do druku Adam Bar. Na końcu czwartego tomu zamieścił krótkie redaktorskie posłowie, gdzie słusznie zwraca uwagę na liczne trudności, które napotyka się przy próbie ustalenia poprawnego tekstu.

Jak wiadomo, Reymont drukował w powieści najpierw odcinkami w „Tygodniku Ilustrowanym” w latach 1902—1908, potem dopiero ukazywała się książka w latach 1904—1909. Między pierwodrukiem w Tygodniku, pierwszym wydaniem książkowym i rękopisami, których część zachowała się w „Ossolineum”, zachodzą liczne różnice, tak różnorodnie, poważnie nieraz, że zanim będzie można wypuścić w świat edycję krytyczną, upłynie zapewne jeszcze sporo czasu. Ponieważ tekst podany przez Bara nie jest bynajmniej rezultatem zestawienia i porównania wszystkich wersji, nie może więc, jak i poprzednie, być uważany za wydanie poprawne.

Jednakże nie o to, ważną zresztą sprawę chodzi mi tutaj, lecz o inną. Na pozór redaktorskie tylko, edycyjne posłowie Bara, przeniknięte jest tym rodzajem oceny i atmosfery, która wymaga wreszcie kontroli. Bar pisze: „Reymont nie umiał gwarzyć gwarą swojej powieści, nie umiał zdecydować się na właściwość językowe mniej lub więcej określonej okolicy... a nawet nie starał się o zachowanie konsekwencji. Oczywiście te wszystkie balałuctwa trudno usunąć”. Balałuctwa? Balałuctwa na chwilę nie przypuszczając, że by powieść mogła odzwierciedlać jakiejś niejednolitości językowego terenu, nie przypuszczając, bo po prostu wiarza obiegowe sądy, ustalone i ogłoszone już w 1911 roku przez prof. Nitscha, a szeroko rozprzestrzeniane potem przez naukową i popularną krytykę. Nitsch podał do wiadomości, że język „Chłopów” nie jest, odbiciem określonego, naprawdę istniejącego narzecza, skąd płynnie też „wrażenie jego sztuczności”. To orzeczenie stało się głównym nagrobkiem dla prawdy o dziele Reymonta i kształtowało dalsze oceny, już nie tylko językoznawcze, lecz również ściśle literackie, dotyczące zarówno poszczególnych stron, jak i całości utworu. Obowiązujące siłą autorytetu, paraliżowały podległe dalsze badania, bo kto zmówił o „Chłopach”, zaczynał zawsze od ich „sfalszowanej” gwary. Ogólny, jaskrawo poetycki, modernistyczny charakter powieści, polecał jakby tę tezę. Jeżeli język, gwara tu spazniona, wymyślona, więc pewno wymyślone wszystko — cały ten świat wycinankowy, malowniczo ludowski. A nie można przecież stworzyć wartościowego opisu o życiu i pracy chłopów, w zmyśleniu i blichtrze! Sznującą się krytyka i nauka o literaturze odsunęły się na przysłowiowy dystans, stale zachowywały nieaprobującą rezerwę. W najlepszym wypadku, jak zresztą i prof. Nitsch, wybra-

zyły Reymontowi przewinienie dla innych, bliżej nieokreślonych wartości. W istocie zaś i w wybaczeniu kryła się dezaprobata, ona właśnie pozwoiliła jeszcze teraz Barowi nazwać różne odmiany gwarowe tych samych wyrazów w „Chłopach” balałuctwami.

Prawda — oceny ujemne i niechętnie miały swoją przeciwwagę w entuzjastycznych nieraz i gloryfikujących. Jeżeli nawet pominiemy okolicznościowe głosy i opinie z okresu przynajmniej Reymontowi nagrody Nobla, żenująco czasem niepochochowane w chwalebne, to trudno zbyć milczeniem skądinąd świetną, choć z wielu względów już nie do przyjęcia charakterystykę twórczości Reymonta, pisaną wyraźnie w perspektywie spojrzenia na „Chłopów”, której autorem jest Adam Grzymała Siedlecki. Również Jan Nepomucen Miller był rzecznikiem entuzjastycznej oceny utworu. Dla Grzymały Siedleckiego wielkość Reymonta leży w znakomitości jego ekspresyjnego stylu, w oryginalności i samorodności talentu twórcy. Miller widzi w nim pieczę pracy i gromady, przełamanie indywidualizmu na rzecz zbiorowości. W ten sposób główne dzieło Reymonta i jedno z najwybitniejszych dzieł w polskiej literaturze zawisło między sceptycyzmem pewnych osób i entuzjazmem innych.

Jak sprawa ma się teraz? Najlepiej charakteryzuje ją dyskusja, która kilka miesięcy temu odbyła się na łamach „Wsi”. Jednemu z młodszych pisarzy zarzucano uleganie w chłopskich opowiadaniach Reymontowi. Obwiniony zaciękle, choć niesłusznie odparował oskarżenia. A zatem związki z „Chłopami” uważa się za kompromitujące i obciążające. W jakich punktach i w jakiej mierze takie postawienie sprawy przekonuje? I czy tam, gdzie się jakiegos autor chwali za postępowość nie ma naprawdę Reymonta? Czy nie widział on i nie przedstawił obrazu wiejskiej rzeczywistości pełnej dramatycznego napięcia walki klasowej, walki biedaka bezrolnego przeciwko posiadaczowi, wiejskiemu kapitaliście? Czy wreszcie naprawdę kłamstwem i fałszem jest cały ten świat młodopolskiego, na pozór pseudopoetyckiego wymysłu, namaszczonego często religijnym wielosłowiem? Dlaczego i na jakiej podstawie mówi się często, że twórczość Reymonta nie ma nic wspólnego z realizmem, bo autor nie widzi sprężyn społecznych i motywów, które wprawiają w ruch życie wiejskie i nie zna jego sprzeczności. Dlaczego wątpi się zwykle, czy z „Chłopów” coś można uratować, cokolwiek przekazać nowemu pisarzowi, zwłaszcza poszukującemu nowych rozwiązań twórczych?

Przyjrzyjmy się „Chłopom” bliżej. Zadaniem moim tutaj nie jest tylko obrona Reymonta, lecz raczej poszukiwanie prawdy o nim. Ale i obrona uzasadniona ma swój sens tam, gdzie zbyt lekkomyślnie i bez kontroli rezygnuje się z takiej prezentacji literackiej, jaką „Chłopi” reprezentują. Jeżeli nie mam racji: dobrze jest rzecz jasno postawić i solidnie przedyskutować, zdaje się, że już do tego dojrzała.

Lat kilka trwające naukowe ba-

danie tego utworu, dokładna analiza tekstu i zestawienie go z odpowiednimi źródłami językowymi i etnograficznymi doprowadziły mnie do nieuchronnego wniosku, że prof. Nitsch się mylił. „Chłopi” są rzetelnym i dokładnym odzwierciedleniem terenu łowickiego, według wszelkich danych w odmianie skier-niewickiej — tak w dziedzinie gwary, jak folkloru. Jest to po prostu etnograficznie wierna monografia wsi łowickiej, t.zw. pełne i prawdziwe, choć powieściowo opracowane jej zwyczajów, obyczajów, kultury itd. Szczegółowe badanie ujawnia, że nie tu (poza fabułą, oczywiście) nie jest myśleniem ani kłamstwem. Reymont doskonale znał materiał, którym się posługiwał. Wszystko wskazuje, że go nawet specjalnie studiował. Nie potrzebował zresztą nie zmyślać, łatwiej mu bowiem było przedstawić to, co sam widział, co sam zaobserwował. Do wieku dojrzałego z terenem łowickim stykał się przecież, dwa lata zaś mieszkał przy kolei skierniewickiej w chacie wiejskiej. Rezultaty szczegółowych badań wskazują, że w stosunku do „Chłopów” mówić się powinno nie o elementach gwary, nie o barwnym dialekcie, lecz o gwarowym, dialektycznym systemie łowickim, w podstawowych rysach jednolitym. Język ten został wprawdzie odbarwiony z pewnych najjaskrawszych cech gwarowych, jak np. z maszurzenia, ale tłumaczy się to słuszną tendencją autora do ułatwienia czytelnikowi dzieła. W zakresie folkloru są „Chłopi” nie gorszym źródłem do poznania łowickiego niż studia ludoznawcze lub takie opisy etnografii, jakie znajdujemy u Kolberga w jego „Ludzie”. Okolicznościom tym dlatego tyle znaczenia przydaje i wagi, że przewyższenie dotychczasowej opinii pozwolił nam inaczej, z innego punktu widzenia spojrzeć na wszystkie pozostałe elementy powieści, a również i na jej całość. Bo po pierwsze — jeżeli głównym warunkiem realizmu jest zgodność z rzeczywistością, to Reymont w zakresie gwary i folkloru jest klasycznym realistą. Ale czy tylko w tym zakresie? Nie tylko. Spójrzmy na dzieło od strony fabuły, bohaterów i zarysowanej w nim problematyki. Rzecz jest złożona, upraszczając jej nie będziemy. Na czele wszystkich bohaterów i w centrum akcji umieścił autor chłop-bogacza. Trzeba jednak nie zapominać, że cały dom Borynów, z jego gospodarzem jest dla Reymonta sposobnością i ośrodkiem nie tyle rozwijania jakiegokolwiek problematyki społecznej w większej skali, ile przedstawienia, rozwinięcia szerokiego obrazu wiejskiego folkloru. Gdyby głównym bohaterem zrobił Reymont biedaka, nie mógłby ukazać całej panoramy istotnie kolorowych, barwnych obrzędów, wesel, pogrzebów, świąt dorocznych. Toteż nie dziwne, że Maciej Boryna jest przede wszystkim bohaterem wątku romansowego, nie zaś społecznego. Wątek społeczny, rozwinięty w drugiej połowie całego obszaru powieści ma swoich przelicznych bohaterów i jest także w różnych kierunkach rozwinięty.

Ten właśnie społeczny wątek, a raczej zespół kilku wątków, powinien dziś przede wszystkim zainteresować krytyka. Przypuszczam, że wywołał opór, ale twierdząc, że aż do „Chłopów” nie było w polskiej literaturze i nie ma dotychczas utworu, gdzieby tak sugestywnie zostały przedstawione stosunki społeczne wsi ze wszystkimi ich konfliktami. Reymont pierwszy i jedyny zobrazował ich całość. Mamy tu więc i konflikt chłopów z dworem i wewnątrz, typowo klasowe walki między biedotą wiejską i bogaczami. Oto — obok romansu, drugą osłową akcją powieści są konflikty między wsią i dworem. Ich zarzewiem jest spór o las. Scena walki o ten las i zwycięstwo łowickiej gromady to jeden z najsugestywniejszych obrazów w utworze, kulminacyjny moment wyładowania się istotnie klasowej, głębokiej nienawiści. Konsekwencją zwycięstwa chłopów jest, jak pamiętamy, zabranie wszystkich mężczyzn do więzienia. W odwecie, gdy płonął dworski folwark na Podleśniu nikt z Lipiec nie posiadał dziełca ratować. Drugie ognisko zapalne stanowi fakt, że dziedzie sprzedadł niemieckim kolonistom grunty po spalonym folwarku, tymczasem matornieli i bezrolni chłopcy, zwłaszcza młodzi, chcieli je między sobą za gromadzkie pieniądze rozkupić. Niemcy już się sprowadzili i rozsiadli, lecz zebrani tłumnie lipczacy wypędzili ich na cztery wiatry. Niestety, wskutek uzasadnionego braku zaufania do dziedzica, chłopcy nie weszli z nim jednak w zbiorową umowę, każdy musiał działać już na własną rękę.

Tak wygląda jeden kompleks problematyki społecznej wsi, drugi, ściśle wewnętrzny, nie dotyczy już dziedzica ukazującego rozwarstwienie wśród samych chłopów. Mamy przecież w powieści dwa światy bohaterów, a dzieli je przepaść. Świat jeden to gospodarze, drugi — komornicy. Bieda komornika, bezrolnego chłopca, ukazywana jest przez autora wielokrotnie i naświetlona różnorodnie. Pamiętamy, jak Han-ka Antkowa stacza się na dno ostającej komorniczej nędzy po wygnaniu jej z chaty przez ojca męża, jak jej własny ojciec, Bylica jest już tylko resztką ledwie żyjącą ludzkiego nieszczęścia, wciągając się o głódzie z braku skrawka własnego gruntu. Któż zapomni żebrać, komornicę Jagustynkę, jesienią wyruszającą poza wieś i wracającą w rodzinne oplotki z wiosną. Komu nie utkwiła w pamięci postać żalonna nieszczęślika, parobka Borynów, Kuby, bliźniaczego brata Macia, bohatera z „Płacówką”, Prusa. Może uszła naszej uwadze ciągnąca się poprzez wszystkie tomy sprawa Szymka i Nastki, dwojga młodych, którzy nie mogą się pobrać, założyci domu i gospodarstwa, bo również nie mają ziemi, o którą mogliby zaczepić ręce łaknące pracy. Cały ten liczny, szeroki, szczegółowo traktowany świat komorniczej biedy jest jak najbardziej wrogo nastawiony do bogaczy i posiadaczy wiejskich. Najbardziej czują się pokrzywdzeni młodzi zwłaszcza, toteż bunt przeciwko starym z ich strony przede wszystkim naddają. Podobny choć może i nie tak wielostronny obraz wiejskich napięć klasowych wsi znajdziemy tylko u Orkana w jego powieści: „W Roztokach”. Cóż z tego, że Reymont nie był w zasadzie pisarzem t.zw. lewicowym, ani też, oczywiście, nie

możli używać i nie używał terminów „klasa”, czy „walka klasowa”, w tym znaczeniu, jakie one mają obecnie, najważniejszy wydaje mi się fakt, że ukazał takie stany rzeczy, które najwyraźniej pod te terminy podpadają. Kto umie w powieściach Balzaca widzieć obraz społeczeństwa ówczesnego i obraz ten tłumaczyć w nowoczesnej terminologii, nawet marksistowskiej, nie może pogardliwym gestem spytać „Chłopów” na ostatni plan swych zainteresowań. Interpretacja reymontowska nie jest interpretacją marksistowską, to każdy wie, ale nie mamy powodu widzieć w „Chłopach” same jej zaprzeczenia.

Mówiło się, że sprawa Reymonta prosta nie jest. Istotnie. Realizm nie wyczerpuje bynajmniej problematyki związanej z jego głównym dziełem. Reymont jest przecież także, a może i przede wszystkim, modernistą. Za realizm zresztą od krytyków ówczesnych dostawał nawet nieraz cieżgi (m.i. od Wł. Jabłonowskiego), bo Młoda Polska nastawiona była raczej antyrealistycznie, zgodnie zresztą ze swym antypozytywistycznym stanowiskiem. Miała własną, specyficzną koncepcję chłopca i życia wsi, w rysach głównych typowo poetyzującą, inteligencją, estetyzującą nawet. Korzeniami sięga ona idei, głoszonej przez niektórych ówczesnych malarzy zwłaszcza przez Włodzimierza Tetmajera w artykułach, zebranych w 1902 roku, w książeczce „Noce letnie”. Koncepcja ta słaby i błady jeszcze wyraz otrzymała w „Bajecznie kolorowej” Sewera, rozkwitła zaś pełnym życiem w skończonym kształcie w „Weselu”. Wyspiańskiego. Chłop w jej ujęciu to wspaniała kolorowość folkloru, dostojna godność królów Piastów, potęgą zwiotu przyrody, tęgą krzepą fizycznego i psychicznego zdrowia. Gdy Reymont zaczął pisać swą powieść koncepcja taka była już gotowa, poetycko sformułowana. Nie była dziwnego, że jej uległ, gdy czarała silniejsze od niego indywidualności, jak np. Orkana, choć ten całą swą twórczością chłopką zajmując w epoce modernizmu stanowisko specjalne i odrębne. Do realizmu domieszkał Reymont tendencje modernizmu — złożył całość utworu ze składników nie tylko różnych, lecz często nawet sprzecznych. Gdy dodatkowo zważymy, że nie oparł się również naturalizmowi Zoli, zrozumiemy, dlaczego budził i jeszcze słusznie budzi wiele zastrzeżeń, choć treść zastrzeżeń była błędna nieraz i krzywdząca. „Chłopi” nie są utworem dobrze przetrwanym, jednolitym i całkownie dojrziałym. Realizm sąsiaduje tu o międze z modernistycznym estetyzmem, motywy zwierzeości i erotyzmu z motywami świętości, wzniosłości niemal religijnej. Naturalnie taka niejednolitość twórczej postawy ma swój ściśły odpowiednik w wyrazie stylowym, słownym dzieła. Realistyczna gwara chłopowska, łowicka, przesyca się poetycznościami języka moderny, rzeczywiste realia obrazów i opisów toną w tak dalekiej charakterystycznej, estetyzującej frazeologii. Bardziej to Reymontowi zaszkodziło. Nie tylko obniżyło poziom, wymiar twórczy powieści, ale też stało się źródłem ujemnych sądów o całości, zasłoniło niejedną istotną i rzetelną jej wartość. Nawet entuzjastom.

Dla nich siła utworu leżała prawie wyłącznie w tym właśnie, co w nim było klasycznie młodopolskie, typowo modernistyczne. bo przecież te wszystkie krzepy, gromady, kolory, żywioły i siły stały się właśnie biorą i tym charakteryzują.

Tak rzecz się miała z ocenami krytyków, inaczej z przyjęciem przez czytelnika i pisarzy. Mimo wszelkich zastrzeżeń krytyki rynek książek pochłaniał i ciągle wysuwał na nią swoje zapotrzebowanie. Łącznie z pierwodrukiem w „Tygodniku Ilustrowanym” — do dzisiaj wyszło piętnaście przeszło edycji, mniej więcej co dwa i pół roku jedna. Czytano „Chłopów” stale, w równym, nieprzerwanym tempie. Powieść weszła w skład żelaznego repertuaru naszych klasyków. Sceptycyzm nie barzdo jej już szkodził, entuzjazm, raczej zachichający, popularyzacji już nie wzmagał. W polskich stosunkach nie zdarza się to za często, musiało więc mieć jakieś głębsze, istotne przyczyny, musiało się fundować na jakichś dostrzeżonych słusznie i trafnie choć i nie zawsze uświadomionych wartościach. Niebawem książka zaczęła budzić oddźwięk w twórczości innych pisarzy.

Kto choćby powierzchownie przejrzy powieściową produkcję o wsi i chłopie z okresu dwudziestolecia, dostrzeże od razu, że karmi się ona głównie dorobkiem, dziedzictwem Reymonta. Programowe nawet nieraz przeciwstawiania się i opory nie dawały rezultatów, nie wrywały twórców z kregu czaru Reymonta. Tak np. Jan Wiktor w „Orce na górze” pisze o „Chłopach” zgrzytliwie: „Ładna książka, Reymontowi wciąż się wydaje, że chłop w kościele mieszka, ręce macza w święconej wodzie i nigdy nie ubarbrze ich w gnoju... trzeba go widzieć z kłonicą i przy gnoju... nikt się nie naje pawimi płótkami”. Bał ale o innego krytyczny, nawet naj-słuszniej krytyczny stosunek, co innego zaś twórczość. Jedną z głównych postaci „Orki” jest stary Biel, zdublowany, przeszarżowany Maciej Boryna. Przykładów takich można znaleźć dużo więcej.

Znakiem usiłowań i prób innego ujęcia chłopca, stworzenia nowej jego koncepcji, była przed ostatnią wojną twórczość Kruczkowskiego, Wasilewskiej, Kowalskiego. Po tej linii, nie zawsze z powodzeniem, choć często z wyostrożoną świadomością twórczą i społeczną generacji obecnej, powojennej, młodszej i najmłodszej. Modernistyczna koncepcja chłopca i życia wsi nie jest już do zniesienia, chociaż jeszcze ciągle odżywa u niejednego autora, nie tylko zresztą w dziełach o tematyce wiejskiej, to jednak wyraźnie nabiera cech epigonizmu. Wyczerpała się jej siła żywotna i sugestywność. Nie sądzimy jednak po pozorach i nie pozwolimy sobie wzmówić, że w „Chłopach” z nią tylko mamy do czynienia. że próby rozwiązań nowych i najnowszych odbywają się całkowicie w oderwaniu od tego dzieła. Widzieliśmy jak wielki jego obszar ma tu charakter inny, nowoczesny, nam nie obcy. Fomimo wielu wad, z których brak dojrzałości nie stanowi bynajmniej jedyną, Reymont jest pisarzem i bardzo wybitnym i nie byle jak rzetelnym. Cechuje go zadziwiająca zdolność, umiejętność poetyckiego, plastycznego kształtowania. Jego bohaterowie nie są cieniami, które zrodził mózg autora lecz postaciami niemal realnie istniejącymi, poruszającymi się własną jakby wolą, samodzielnie. Nadużywanie tej umiętności, skłonność do przesady w obrazowaniu i opisie, przesada i maksymalistyczne tendencje w stylu prowadziły go zresztą nieraz na mronowe ale plastyka decydowała o żywotności. To zapewne urzekło i urzeka dalej zarówno czytelników, jak pisarzy. A przecież nie tylko siła ekspresji stylu i plastyka obrazowania mają wagę i wpływ, nie tylko one są podlegające, również tamte wszystkie pierwiastki realistyczne i społeczne. Trzeba jasno powiedzieć, że twórczość pisarzy, którzy przełamywali konwencje modernizmu w okresie dwudziestolecia i tych wszystkich, którzy teraz widzą i opisują wieś i chłopca — w perspektywie ideologii marksistowskiej nawet — którzy przedstawiają klasowe konflikty wiejskiego życia, nie jest izolowana całkowicie i bezwzględnie od świata „Chłopów”. A nadto, jeżeli teraz właśnie na tak szeroka skalę doceniamy zdobycze kultury ludowej, musimy pamiętać, że w tym dziele otrzymała ona pełny wyraz w obrazie gwary, folkloru, w prawdziwych wiernych opisach zwyczajów chłopkiego i obyczajów. To nam pozwoli zająć wobec „Chłopów” stanowisko wprawdzie nie bezkrytyczne, ale przecież sprawiedliwe.

Nie będziemy się już dziwić, że tylu pisarzy do nich nawlżywało. Takie są prawa twórczości, że tylko byle jaka nie ma żadnych powiązań z przeszłością. Nie zaskoczy nas już też fakt, że nawet na najnowszych, najbardziej postępowych szlakach współczesnej prozy o tematyce chłopkiej i wiejskiej znaczy się ślad stopy Reymonta.

Leon Kruczkowski

ANTONI (staje w drzwiach wejściowych): Proszę państwa, samochody czekają.

LIESEL (głosem jakby sennym): Chodźmy. (nie patrząc na nikogo idzie ku drzwiom, wychodzi)

WILLI (wybucha głupim śmiechem)

BERTA: Willi! Przecież to jakaś okropna historia! Co tu się dzieje?

WILLI (wśród śmiechu): Ależ tak! Ruth ma rację, mamo. Pan Peters czeka na nas (popycha wózek Berty ku drzwiom, przed progiem zatrzymuje się, do Antoniego): Antoni u usiadzie i będzie pilnował pana Petersa, żeby mu się co ziego nie stało... (sięga do futerału, wyjmując pistolet) Antoni umie się z tym obchodzić?

ANTONI: Potrafię, panie Willi.

WILLI: No to pożyczam Antoniemu. Nabyli? (odwraca się): Do widzenia, Joachimie Peters. Ma pan co najmniej trzy godziny na przespanie się. W pańskiej sytuacji to dużo wartę (wychodzi wytyczając wózek).

RUTH (podchodzi do nierechomego Sonnenbrucha, kładzie mu rękę na ramieniu): Idziemy, ojczu.

SONNENBRUCH (patrzy na nią jakby zbudzony ze snu, kiwa głową, podchodzi do Joachima, staje przed nim): Idziemy, Joachimie... (jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, robi nieokreślony ruch ręką, odwraca się, rusza powoli ku drzwiom, wychodzi).

RUTH (przekręca kontakt główne-go światła, wychodzi).

(scena, tylko w świetle kinkietu, stojącego na kominku, Joachim z głową opartą o poręcz, przynymka oczy, Antoni z pistoletem w ręce siada na jednym z krzeseł, uważnie przygląda się Joachimowi).

KURTYNA

Maria Rzeuska

## NIEMCY

JOACHIM (jakby dopiero teraz ją dostrzegł, wpatruje się długo, nie odpowiada).

LIESEL (wchodzi z drzwi jadalni, staje, przygląda się).

SONNENBRUCH (nieśmiało, w zakłopotaniu): A ja dzisiaj, widzi pan, obchodzę mój jubileusz...

JOACHIM (jakby nie zrozumiał, mechanicznie): A, jubileusz...

RUTH (spozstrzega Liesel): Liesel, w kredensie snoi butelka koniaku, bądź tak dobra, przynieś ją tutaj.

LIESEL (jak automat, wychodzi do jadalni).

SONNENBRUCH (półgłosem): Czy pan jest ranny, Joachimie? Widziałem, że utyka pan na nogę.

JOACHIM: Zwinnąłem wczoraj nóg, skacząc przez mur... (uśmiech): Nocowałem na cementarzu, w Waldorfi...

RUTH (ręcznie, bezbarwnie): Będzie pan dziś nocował znacznie wygodniej.

SONNENBRUCH (patrzy na nią przenikliwie): Co chcesz, przez to powiedzieć, Ruth?

LIESEL (wraca z butelką i kieliszkiem, podaje Ruth, staje nierechomo z boku, patrzy uporczywie).

RUTH (nalewa, podaje Joachimowi): Proszę, to pana wzmacni.

SONNENBRUCH (podchodzi do Liesel, po cichu): Niespodziewany wypadek. Ale nie poważnego.

LIESEL (bezbarwnie): Kto to jest?

SONNENBRUCH: Przechodzień. Zasłabł na ulicy, Antoni przyprowadził go tutaj. A tymczasem... (urywa, nadsłuchuje) Ruth! Zdaje się, że zajęły samochody...

RUTH: Samochody? Ja jestem gotowa. Mogłabyś, Liesel, zająć już miejsce, za parę minut pojedziemy.

LIESEL: Dobre, a „człowiek potrzebujący pomocy” — co z nim zrobić?

JOACHIM (skupiając resztę sił): Jeżeli państwo muszą jechać, proszę się o mnie nie troszczyć. Mogę już iść, czuję się znacznie lepiej... Niech państwo o mnie nie myślą...

SONNENBRUCH (unikając wzroku Joachima): To chwala Bogu, że już lepiej. Ma pan tutaj... (sięga do kieszeni, wyjmując notatki, patrzy na nie zmieszany, wkłada z powrotem, wyjmując portfel).

RUTH (zdumiona): Co ty, ojczu?

SONNENBRUCH (gwałtownie, chwytając Joachima za ramię): Niech pan stąd idzie, błagam pana! Niech pan stąd idzie natychmiast, jak najprędzej! (szuka w portfelu): Proszę, proszę tu parę marek...

RUTH (ostro): Ojczu!

SONNENBRUCH: Niech pan słucha tylko mnie, Joachimie! tylko mnie! na miłość boską! (ogłada się, patrzy w drzwi jadalni).

JOACHIM (z najuyższym wysiłkiem dźwiga się z fotela, nie patrząc na nikogo, na twarzy nieznaczący, bolesny uśmiech)

RUTH (spokojnie, stanowczo): Proszę siadać. Nigdzie pan nie pójdzie!

LIESEL (obserwuje z kamienną twarzą)

JOACHIM (spokojnie): Pan za to źle grywał w szachy, Willi... (z uśmiechem): Ma pan nareszcie okazję — dać mi matę!

(w drzwiach jadalni ukazuje się wózek z Bertą, wotacany przez Williego, oboje patrzą zdumieni)

BERTA: Co tu się dzieje, Walterze? Kto to jest?

LIESEL (staje przy Willim, sztyderczo): „Przechodzień. Zasłabł na ulicy”...

WILLI (podchodzi do Joachima, przygląda się, nagłym ruchem zrywa mu czapkę obnażając ogoloną głowę, rzuca czapkę na podłogę, chwytwa w przegubie dłoń rękę Joachima, odsuwa rękaw, znajduje numer obozowy, patrzy kolejno po wszystkich twarzach, drwiąco): „Przechodzień. Zasłabł na ulicy”... (wybucha śmiechem)

SONNENBRUCH (kładzie mu rękę na ramieniu):

WILLI (ucinając śmiech): No co? Cóż tak stoicie wszyscy? Nie wiecie co trzeba zrobić?

SONNENBRUCH: Nie poznajesz go, Willi? (do Berty, która podjechała ku nim): To jest Joachim... Joachim Peters, Berto.

BERTA (zimno): Peters? Nie przypominam sobie.

SONNENBRUCH: Mój uczeń i były asystent — nie pamiętacie? Bywał kiedyś często w naszym domu, sześć, osiem lat temu...

WILLI (rozkręcający przed Joachimem, przygląda mu się drwiąco): Aaa! Joachim Peters! Patrzcie, patrzcie! Przepraszam, że nie poznałem od razu... zmienił się pan trochę, od tamtych lat, kiedy pana widywałem... tak, był pan wtedy miłym chłopcem, pamiętam nawet, że grywał pan nieźle w piłkę ręczną...

JOACHIM (spokojnie): Pan za to źle grywał w szachy, Willi... (z uśmiechem): Ma pan nareszcie okazję — dać mi matę!

BERTA: Jeżeli to jest pan Peters, to bardzo nam przykro, Walterze, ale... sprawa jest zupełnie jasna, a my przecież musimy już jechać...

WILLI: Oczywiście, siódma za dziesięć. No więc, nie ma się nad czym zastanawiać. Jeżeli to jest pan Peters, to bardzo nam przykro, ale... (idzie do telefonu, podnosi słuchawkę)

(wszyscy patrzą za nim w napięciu, z wyjątkiem Sonnenbrucha, który odchodzi na bok, w stronę kominka, nierechomicie tam)

RUTH (szybko idzie za Willim, staje naprzeciw): Co ty chcesz zrobić, Willi?

WILLI: Jak to co? Zawiadamiam policję.

RUTH (ze spokojną stanowczością): Zostaw. Nie zrobisz tego.

WILLI (odwraca się od niej, do telefonu): Halo. Proszę mnie połączyć...

RUTH (wyrzywa mu słuchawkę, odrzuca ją na oślep strącając cały aparat na podłogę)

WILLI (rzuca się ku niej, wościelny): Co ty oszalała?

RUTH (z całej siły uderza go w twarz): Masz! I uspokój się, ty głupcze!

WILLI (patrzy na nią oszaloniony)

RUTH (bierze go za rękę, prowadzi do wózka Berty, zostawia tam, odstępnie, patrzy po wszystkich): No co, i coż tak stoicie? — czas jechać!

BERTA: Ależ Ruth! Co ty sobie myślisz? Walterze! Co ona robi? Co to wszystko znaczy?

SONNENBRUCH (nie drgnął, przez cały czas nie patrzy na nikogo)

RUTH (pochochod do Joachima): Pan tu zostanie. No, niech pan siada. (popycha go lekko na fotel). Zaczeka pan aż wrócimy.

# BALET RADZIECKI W POLSCE

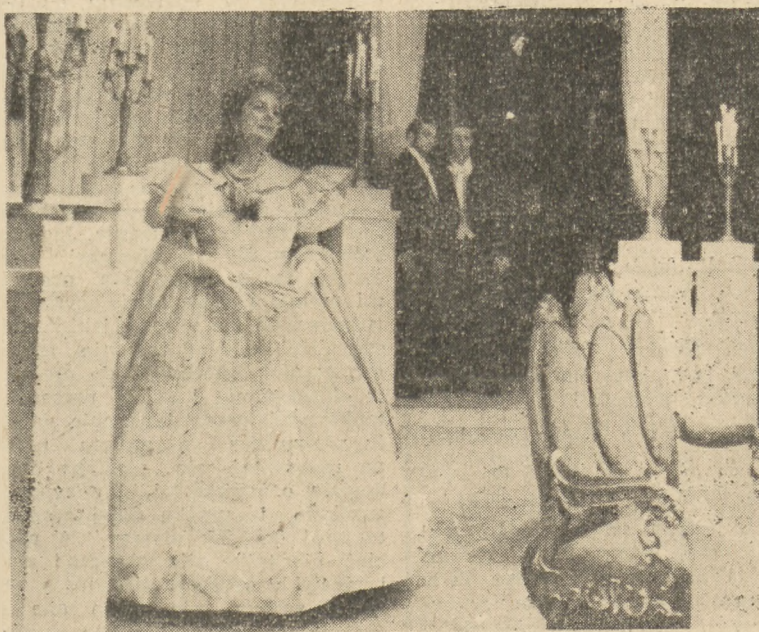


Fragment tańca Basków z baletu „Płomień Paryża”

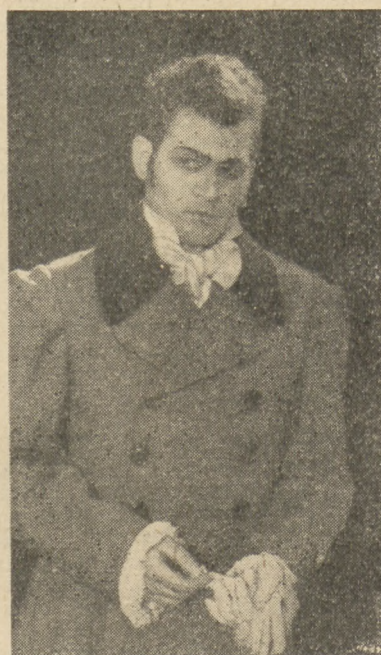


Kapustina i Raduński w „Polonezie”

## Z OPERY WARSZAWSKIEJ



Ewa Bandrowska-Turska w roli Tatiany w scenie VI „Eugeniusza Oniegina”



Bolesław Jankowski w roli



Michał Szopski w roli Leńskiego Oniegina

Publiczność polska miała okazję zapoznać się ze sztuką taneczną Związku Radzieckiego w czasie występów takich zespołów chóralnych i tanecznych, jak słynny zespół Mojżesiewa, Platnickiego i innych; przyjazd Baletu Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego z Moskwy umożliwił jej poznanie radzieckiego baletu klasycznego i charakterystycznego.

Istniejące od czasów carskich świetne tradycje baletu rosyjskiego, który już przed 40 laty święcił triumfy w całej Europie — w ustroju państwa socjalistycznego znalazły wszelkie warunki do pełnego i wszechstronnego rozwoju. W Rosji carskiej istniały jedynie dwie szkoły baletowe w Petersburgu i Moskwie — obecnie jest trzydziści szkół baletowych, w których wykładają najlepsi teoretycy i praktycy tańca. Czerpiąc z przebogatej skarbnicy, jaką jest muzyka i taniec ludowy, baletmistrz radzieccy rozszerzają w oparciu o taniec klasyczny środki ekspresji choreograficznej.

Bawiący na występach gościnnych w Polsce zespół (nagrodzony Orderem Lenina) liczy 58 tancerek i tancerzy oraz kilku znakomych muzyków, jak pianiści Zak i Stuczewski oraz świetny dyrygent Arnold Reutman.

Cechą wyróżniającą balet radziecki od podobnych zespołów na zachodzie Europy jest przede wszystkim prostota wykonania, która idzie w parze ze zdumiewającą wprost techniką. Balet radziecki odchodzi daleko od dawnego, tradycyjno-klasycznego, który był zawsze sztuką abstrakcyjną, i stara się nasyć taniec treścią społeczną. Kto widział „Miotaczy Granatów” (opr. muz. Albeniza) czy „Spotkanie” (muz. Potopowa) może ocenić jak wiele osiągnięto na tej drodze, jak dalece taniec może stać się odbiciem rzeczywistości.

Balet jest dziedziną sztuki najbardziej narażoną na niebezpieczeństwo wпадnięcia w łatwe efekciarstwo, głęboki umiar, jaki cechuje każdy ruch wszystkich solistów baletu moskiewskiego świadczy o trafnym przemysłeniu koncepcji artystycznej.

Zespół radziecki prezentuje publiczności polskiej wszystkie rodzaje tańca od groteski poprzez „opowieść baletową” Coppelia do zmodernizowanego tańca klasycznego. Największą zaletą zespołu jest jego wyrównany poziom tańca, że trudno wprost wyróżnić tu poszczególne solistów. Niemniej jednak na czoło zespołu wybijają się bezsprzecznie laureaci Nagrody Stalinowskiej — Olga Lepieszyńska i Araf Messerer. W tańcu Lepieszyńskiej zachwyca przede wszystkim niezwykła graja i harmonijność ruchów, która znalazła pełnię wyrazu zwłaszcza w walcu moskiewskiego. Miłą niespodzianką dla polskiego widza były świetnie odtworzone tańce polskie, mazur i polonez (Glinki).

Wspomnieć należy pełne dziwne uroku, pastelowe w kolorach, dekoracje do tryaktowej sztuki baletowej „Coppelia” Delibesa.

Niestety musimy przyznać, że balet to ciągle jeszcze jedna z najbardziej zaniedbanych dziedzin naszego życia artystycznego. Mimo pięknych tradycji i na ogół niezłego materiału ludzkiego nie posiadamy do dziś żadnego zespołu czy też solisty zdolnego reprezentować Polskę za granicą. Wiele zdolnych tancerek i tancerzy ciągle jeszcze musi tulać się „na występach gościnnych” na prowincji bez odpowiedniej opieki i kierownictwa. Jedynie znikoma część znalazła oparcie w zespołach baletowych poszczególnych oper, ale nawet i ci szczęśliwcy nie otrzymali odpowiednich warunków.

Mamy jednakże nadzieję, że projektowany Reprezentacyjny Balet przy Operze Warszawskiej rozwiąże zasadniczo ten problem powracając do świetnych tradycji naszego baletu.

Entuzjastyczna wprost reakcja publiczności na każdym z występów Moskiewskiego Zespołu Baletowego była najlepszym dowodem, jak bardzo publiczność polska spragniona jest naprawdę dobrej sztuki baletowej.

Adam Witold Wysocki

Po Warszawie znakomity balet radziecki odwiedzi szereg miast Polski. W drodze powrotnej wystąpi jeszcze raz w stolicy.

# FILM - Kino - FILM - Kino

## Kryzys filmu na festiwalu w Belgii

PARYŻ, w sierpniu 1949

Drugi, światowy festiwal filmu i sztuki w Belgii odbył się w Knokke sur Mer w warunkach zupełnie odmiennych aniżeli pierwszy w 1947 w Brukseli. Dwa lata temu obfitość towarów w sklepach i ogromna ilość luksusowych samochodów na ulicach stolicy sprawiły, że festiwal ten wydał się pewnym dziennikarzem zagranicznym wzorem i ideałem. Festiwal, Hollywood wysłał swoich najwybitniejszych reprezentantów jak Rita Hayworth, międzynarodową „pin up girl” czy wie-

dzienia istniejącego stanu rzeczy, nie przynosząc ani nie wskazując pozytywnego rozwiązania.

„Złodzieje rowerów”, który górował nad wszystkimi filmami festiwalu, przytoczył nieco pozostałą produkcję włoską, wśród której znajdował się jeszcze jeden film o wielkiej wartości, mianowicie film „W imieniu prawa”, dzieło Piero Genniego, jednego z młodych, najbardziej uzdolnionych realizatorów szkoły „neorealisticznej”.

W konkurencji francuskiej na festiwalu podobnie jak całości konkurencji tości artystyczne. Wymowa jego jest włoskiej dawały się odczuć skutki kry-

belgijskim. Istotnie trudno byłoby wytłumaczyć tę niezrozumiałą decyzję, gdyby jury obradowało w zupełnej niezależności. Filmy amerykańskie były melodramatyczne, gładzarskie, niestrawne. O wszystkich niemal pokazanych filmach nie dało się niczego powiedzieć poza tym, że nie wniosły nic nowego.

„Obojętne czy ubiorę ich na czerwono czy na żółto, czy na zielono — oni zawsze uciekną z pola bitwy” — mówił o swoich żołnierzach pewien monarcha z operetki. To samo da się powiedzieć o współczesnej produkcji amerykańskiej. „Ustępuje zawsze z pola walki”, czy przebraniem pod jakim występować będzie — psychoanaliza, sexappeal, moralizatorstwo, kryminologia czy czekomy „neorealizm”.

Nagrodzony film „Okno”, to film gangsterski o formie naprawdę socjologicznej. Ofiarą prześladowaną tym razem przez zabójców jest ośmioletnie dziecko. Oto czego potrzeba, aby wprawiać w drżenie wrażliwe dusze...

Jury nagrodziło również inny film amerykański „Dom dzielny”, ponieważ usiłował rozwiązać kwestię muryzacji... kuracja psychoanalityczna. Film ten jest jednak mniej dziecinny niż się wydaje; autorzy jego pod płaszczykiem fałszywych a modych teorii znajdują pretekst do powiedzenia paru słów prawdy na temat rasizmu.

Konkurencja amerykańska była dość przeciętna, tak jak i produkcja argentyńska. Żaden wartościowy film nie ukazał się jeszcze od czasu dyktatury pułkownika Perona, mimo znacznych środków materialnych, w jakie wyposażone są studia Buenos Aires. To, co przysłała Portugalia i Grecja było śmieszne. Natomiast „Kajpana”, film hinduski zrealizowany przez tancerza Uday Shankar i jego trupe był wykładnikiem powolnego wysiłku, który został sprawiedliwie oceniony przez przyznanie wielkiej nagrody. Poprzez wystawny balet, częściowo oryginalny i pełny wyrazu, częściowo zniekształcony przez obce wpływy i zły smak, zostały pokazane Indie w procesie fermentacji dążące do wolności. Obok starożytnych, okrutnych bogów widziałem się w niektórych scenach proletariatu dyki buntujący się przeciwko wyjątkowi.

Festiwal ten nie przyniósł żadnego rewelacji i jakby mimo woli dał kilkanaście głębokiego kryzysu dotykającego film w krajach marszałkowskich i zmarszczonych. Według wszelkich danych następnym festiwalu w Wenecji i Cannes przy końcu tego lata przyniosą analogiczne wyniki.

Georges Sadoul



Bohaterzy z filmu „Złodzieje rowerów”

lebnego Mac Clafferty'ego, prezydenta „Légion de la Décence”.

W roku 1948 światowy festiwal w Belgii nie mógł się odbyć. Festiwal tegoroczny zaś musiał być subwencjonowany przez wielkie kasyno gry, którego wpływy spadły na wielkie trosce jego akcjonariuszy. Belgia 1949 roku jest najzupelniej inna niż Belgia roku 1947: „dostatek” stał się jej katastrofą. Wszystkie sklepy ogłaszają wyprzedaże i rabaty przy zakupach, co jednak nie przyciąga kupujących. W Knokke, choć zniszczenia ostatniej wojny są jeszcze wszędzie widoczne, setki pustych mieszkań nie znajdują odnajomców. Każdy Belg z niepokojem mówi o bezrobociu. W tym kraju, liczącym sześć milionów mieszkańców, 200.000 ojców rodzin jest bez pracy. Nadmiar produkcji amerykańskiej doprowadził znaczną część robotników belgijskich do nędzy...

Festiwal w Knokke był przede wszystkim festiwalem państw zaliczanych; udział Polski i Czechosłowacji w sekcjach dokumentarnych nie odegrał większej roli.

W roku 1947 Anglia wysłała do Brukseli znakomity wybór filmów. Tym bardziej więc uderzająca była zupełna przecieność filmów angielskich przysłanych w roku bieżącym na festiwal w Knokke. Jury, mimo że starało się zadowolnić wszystkie państwa biorące udział w festiwalu nie mogło wyróżnić żadnego filmu brytyjskiego; to co pokazano było tylko poślednią imitacją komedii amerykańskich (Adam et Evelyn) lub zawiłych historii gangsterskich („For them that Tress”). Zmonopolizowanie filmu angielskiego przez Artura Ranka i Aleksandra Korde i jego oderwanie się od rzeczywistości społecznej, stało się przyczyną jego upadku. Przemysłową stronę kryzysu przemysłu filmowego uwidacznia rosąca konkurencja amerykańska. Przy końcu marca na 29 studiów, istniejących w Anglii, 21 było zamkniętych...

Wielka nagroda tegoroczna festiwalu przypadła w udziale filmowi włoskiemu „Złodzieje rowerów” Vittoria de Sica. Ta nagroda narzucała się sama. Filmu tej wagi Europa nie wyprodukowała może od lat dziesięciu. — Temat filmu daje ogromnie dużo do myślenia. Długoletni bezrobotny zostaje zatrudniony przy rozklejaniu tafiszów. Aby utrzymać swe miejsce musi mieć rower. Znosi więc wszystko co mu pozostało do lombardu, aby go kupić. Kiedy jednak rozkleja na murach Rzymu wyzywające afisze, przedstawiające Ritę Hayworth w „Głdzie”, kradną mu jego rower. Bezowocne poszukiwania skradzionego roweru, bez którego człowiek ten traci wszelkie środki egzystencji, stanowią rdzeń filmu, dającego przegląd nędzy proletariatu rzymskiego.

Ten niebywały sukces jest jednocześnie triumfem „neorealisticznej” szkoły włoskiej. Film „Złodzieje rowerów” ukazuje prawdziwe oblicze zmarszczonej Europy. I jak film „Rzym, miasto otwarte” uświadomił publiczności lepiej niżby to zrobiła jakakolwiek propaganda, istotę Ruchu Oporu włoskiego przeciw nazistom tak film „Złodzieje rowerów” uocznia dramatyczną sytuację, do której doprowadziła robotników włoskich polityka paktu atlantyckiego rządu de Gasperiego. Ta cecha stanowi o wartości dzieła. De Sica w większym jeszcze stopniu aniżeli jego ogromne warty większa, że sam film, ograniczając się jedynie do krytycznego stwier-

zysu przemysłowego spowodowane zailem ekranów przez filmy amerykańskie. Jednak dzięki akcji komitetów obrony filmu francuskiego, produkcja studiów paryskich znacznie się poprawiła w stosunku do ostatniego sezonu. Wybór filmów francuskich był urozmaicony i posiadał wiele walorów. Największy sukces uzyskał piękny film Louisa Daquin „O świecie”, poświęcony życiu górników, z drugiej zaś strony film Le Chanoisa „Szkoła Buissonniere”, szlachetna historia nauczyciela wiejskiego, walczącego o postęp i demokrację oraz zabawną fantazja Noel Noela „Les Casse Pieds”.

Nagrodę za najlepszy wybór filmów uzyskali Stany Zjednoczone. Bez wątpienia nagroda ta była z góry zagwarantowana i pod tym warunkiem Hollywood wziął udział w festiwalu

## Dokąd idziesz — Huston — i co z tego wyniknie?

W jednym z filmowych pism francuskich wyczytałem niedawno kilka dość rewelacyjnych wiadomości, które podaje w skrócie:

1) Wytwórnia „Metro - Goldwyn - Mayer” postanowiła zrealizować film „Quo Vadis?” według powieści pewnego Polaka.

2) Plenery filmu mają być realizowane w Rzymie, nie ze względu na

6) „Doradca artystyczny” filmu P. Leon Bobriński(?) szuka w Alpach Piemontskich wielkołuda do roli Ursusa.

7) Film reżyseruje John Huston, twórca superkryminalnego filmu „Skamb z Sierra Madre”. Film ten miał jednak pełne zalety w realistycznym odтворzeniu okresu gorączki złota, a reżyser został zwolniony z wytwórni „Warner Brothers” w ramach kampanii przeciwko ludzimi postępowym. Dla nieważ dzieła jego nie upowadniają do takich wniosków — był on z pewnością ofiarą panamerykańskiej historii.

W tym miejscu pyta czytelnik, jaki to ma związek z nami?

Ołóż wytwórnia „M-G-M” podobno nabyła prawa autorskie powieści „Quo Vadis?” w roku 1938 i ze względu na wybuch wojny odłożyła realizację na 10 lat.

Sądząc, że należałoby spytać od kogo i za ile nabyto te prawa i czy po 10 latach umowa nie wygasła. Przed wojną nie dbano u nas o ochronę dzieł literatury polskiej przed obcymi zamachami.



„Ligia”

autentyzm (Colosseum zostanie zbudowane z papier mache w Cine-Citta) ale ze względu na to, że włoski robotnik jest tani, a koszt pracy w Cine Citta jest dziesięciokrotnie mniejszy niż w Kalifornii.

3) Mimo to wytwórnia przeznaczona na ten cel 7 i pół miliona dolarów, a więc o półtora miliona więcej niż na dotychczasowy swój arcydzieło w technicolorze „Przemienieło z wiatrem”.

4) Ponieważ „Przemienieło z wiatrem”, nie wyłamując się z tradycji sukcesów kasowych najgorszych filmów, przyniosło rekordowy dochód „czysty” 32 miliony dolarów, „M-G-M” spodziewa się zrobić jeszcze większą kasę na (technicolorowym) „Quo Vadis?”

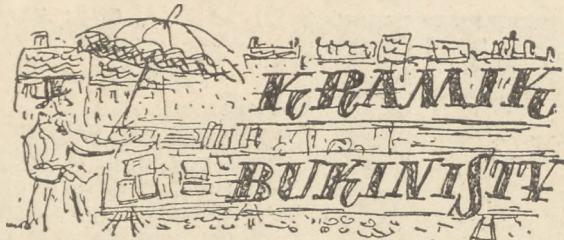


„Winicjusz”

W tym wypadku chodzi nie tylko o tłumaczenie na język angielski, ale i o transpozycję filmową, o film, który wprawy 100 razy tyle ludzi, ile kiedykolwiek czytało „Quo Vadis?”

Leon Bukowiecki





## COUVREZ - VOUS MON COUSIN

Komiczną anegdotą uwiecznił się Łoś, wojewoda pomorski, wystawisz w dziedzinie Narolu figurę na podziękowanie Panu Bogu, że go wyratował od utopienia w rzece Tanwi:

„Co Pan Panu uczynił o tym Pan, [w]ie Ze tonącego wyrwał z nurtów [rzeki] Tanwi Za grzeczność, że Pan Pana od [śmierci] wybawił, Pan Panu na pamiętkę ten [pomnik] wystawił.

Książę Jabłonowski, wojewoda braclawski, miał w swej sali wielki obraz, przedstawiający jego osobę, zdejmującego kapelusza przed Najświętszą Panną, z której ust wychodziły te słowa:

„Couvrez - vous mon cousin”

Ileokroć książę chciał ukarać któregoś z dworskich, za jakie uchybienie, wydawał na niego wyrok, że przez jeden, dwa lub trzy tygodnie nie będzie oglądał pańskiego oblicza. Poczem wypytywał się zauszników, jak tę karę przyjął delikwent. Zazwyczaj odpowiadało mu: „Rozpaczka biedak! Chudnie że zmartwie-

nia i może żywot sobie odbierze!” Książę zawsze litował się i kazał winowajcę z zawiązanymi oczyma przyprowadzić przed tron, na którym siedział, ten zaś padając mu do nóg zbierał łaski i przebaczenia. Książę zmieszany, uroczyście głosem obpuszczając te trzy słowa: „Żaluję, odpuszczam, nie pamiętam”. Za trzecim słowem winowajca musiał zerwać się na nogi i największej radości dawać oznaki.

Z tego wszystkiego najbardziej oryginalnym uważam ten rys, że owi panowie trawieni pychą mieli się za coś prawie boskiego, a przynajmniej z Chrystusem i Świętymi Pańskimi uważali się na równi w hierarchii kościelnej.

Wiedziała o tym drobniejsza szlachta i kiedy potrzebowała czegoś od panów nie szedła im na najgrubszych pochlebstwach, jak ów szlachcic co przed Mikołajem Potockim ukłękł na rynku Halickim i wołał: „Tys jest Bóg w Trójcy Świętej Jedyny, weź mego syna do konwiktu”.

(Wodziski hr. Stanisław. Wspomnienia z przeszłości. Kraków. 1873, str. 30 — 31).

## Z KALENDARZA DZIADKA

W połowie XVIII wieku nie było podobno wziętych i sławniejszych kalendarzy nad Duńczewskiego. Bywały one bardzo obszerne, zawierały prognozy na każdy dzień roku, kiedy krew puszczą kiedy bańki stawić, pigułki zacywać, miksturę brać lub proszki, kiedy siać, drób sadzić, konie stanowić, wieprze na karm zasadzać, wreszcie ważną wskazówkę dni feralnych i szczęśliwych itd.

Jako próbkę tego rodzaju notat, ośmielam się tu dać maluczkę wyjątki z kalendarza ręką ojca mego zapisanego, wybierając co najbardziej zdaje mi się zajmujące.

1774 dnia 1 stycznia, nowy rok się zaczął, daj Boże szczęśliwy, ale coś gadają o naszym Sejmie. Boże uchoć, żeby się nie sprawdziło, co o nim ludzie prawią. Byłem wczoraj na imieninach u JMP stolnika, zjazd był liczny.

EODEM 5 januar. Herszko, arendaż został wien jeszcze z przeszłego kwartału dziewięćdziesiąt i jeden tyńfów. Musiałem się uciec do ekucji, według opisu kontraktu, że zawód mając, prawomocem jestem zabrać go z żoną i dziećmi i wiezić dopóki mi się podoba lub z długi się nie uści.

Otóż kazałem wzięść szachraję i na łańcuchu wpakować do sadza między wieprze, żonę i bachurów resztę zostawiłem w karczmie, a młodszego Lejzja sprowadziłem do dworu i kazałem uczyć pacierza i katechizmu, bo sprytny. Muszę go ochrzcić, o czym już uwiadomiłem księdza infułata, który na ten akt zjechać obiecuje, aby duszę jego przysposobić. Lejzjo nie chciał się żegnać, ani pacierza naszego mówić, ale pan Strzelecki różgami go do tego napędził. Dziś już jadł słoninę. JM. Ks. Bonifacy, reguły *minorum de observantia*, kapelan nasz, przykłądny zakonnik, bardzo się około niego poci i upór dziecinny zwyciężyć umie.

EODEM 26. Maciora zwana kłonica, amerykańska, dziś dała jednaciorego prosiąt bardzo pięknego... Swinki, *excepit* dwie, wykołał się na kuchnię, wyjął bardzo dobrze na imieniny spodziewanego brata fejmościnego.

EODEM 27. Przyjechali Żydy z Berdyżowa, oddali za szalbarza Herszka dziewięćdziesiąt jeden tyńfów, w prezencie głowę cukru i oko podłej kawy. Wypuścił kazałem Herszka, a syna chciałem zatrzymać jako już wchodzącego na lono kościola katolickiego, ale bardzo mi się próbami uprzykrzać zaczęli, więc i jego puściłem. Ale Żyd się znów pewnie na terminie nie wypłaci, mam nadzieję, że Lejzjo mi się znów popadnie i chrześcijaninem zostanie. Tymczasem poczekajmy do 24 marca.

Eodem — powróciwszy z kontraktów przywoziłem dla fejmości dwie pary trzewików pięknych i patynków par dwie — na suknie atlasu weneckiego lokci piętnaście.

Krowa Podberecka czerwona dała nam cieliczkę, szkoda że nie byczka. EODEM 29. Byłem na imieninach JMP podkomorzego. Zjazd był wielki — wiadomo, jak ten *principes nobilitatis* ugaszca w swoim domu. Było jedzenia suto i wina wbród. Moździerz za każdym wivatem dawały ognia i dwa dni nie wypuszczano żywej duszy pozejmowawszy koła z kolaszek.

3 MARTII. Przyjechał ksiądz Felix, kapucyn. Warzył miód z trzech półbeczków, jeden na konserwę, a dwa na expens, dwa półbeczki na chwałę Bożą odesłaliśmy do klasztoru.

8 MARTII. Klacz biała turecka miała zrebzyka po stadniku księcia fejmości. Będzie koń rosty, bo kolanka ma grube.

10 AUGUSTI. Oddawna doświadczyliśmy różnych w gospodarstwie upadków, rząd hreczkę i groch pobli, chu-

doła odpadać zaczęła, ogień się był pokazał w kuchni, szczęściem uratowano, zgoła to były plagi boskie, a smutne *praesagia*. Nie wiedzieliśmy czemu to przypisać, kiedy *jurante Deo*, nareszcie odkryła się zgroza *peccatum sodomiae*. Marysia Zakrzewska, szlacheckiego rodu, wychowawca fejmości, wielka faworyta i bardzo usposobiona, okazała się winna. Długo się tała, ale panna Stońska doszła wszystkiego. Przynajmniej wreszcie do konszachcowań i amorów z Mikołajem, teorianistą poddanym moim, którego kosztem moim wyedukowałem.

Nie mogliśmy tego puścić płazem. JM ksiądz kapelan wziął na siebie oznaczenie i dopełnienie kary. Wyznaczył dziewczynie sto dyscyplin, ale fejmość odposiła na czterdzieści. Aby zapobiec przypadkowi przywiązano ją do drabiny i wylcono, a teorianista kazałem w dybki pod strażą posadzić na pięć tygodni, co piątek o chlebnie i wodzie po sto dyscyplin! W każdy piątek była msza na ich intencja, a z ich zastug po złotemu na nią wytrącano.

10 SEPTEMBRIS. Wyjechałem do Fejmości Dobrodziejki, Matki mojej w Łukowskie.

5 DECEMBRIS. Powróciwszy z drogi od JMości Dobrodziejki Matki mojej, którą znowem zastałem i zostawiłem, przewiołem zegarek złoty, kameryzowany z emalia, sprzączki do trzewików kameryzowane i obraz w srebro oprawny Matki Boskiej Częstochowskiej w prezencie dla kochanej mojej. Fruzi od Fejmości Dobrodziejki Matki mojej, a z Warszawy kopersztychów trzy. Z tych jeden darowałem JMości Dobrodziejstwu Rodzicom moim, a drugi JM pani starościnnie Nizyńskiej, ciocie mojej żony. Wyrażono na tym kopersztychy ślicznie, jak żywy udanego ptaka; ten cały w trupich główkach, a na środku na skrzydłach ma dwie trupie głowy z koronami. Włód spodem explicacja, że ten ptak wleciał na pokoje królewskie w Paryżu w dzień zaduszny, usiadł na tronie, a potem zniknął.

Różni różnie o tym mówią, że ten cud zesłany jest od Boga z wróżba kary na kraj francuski za odstąpienie od wiary świętej katolickiej, że się namnożyło wiele ksiąg bluźnierczych, że nie szanują kapłanów, nie wierzą w tajemnice wiary i pozostawili farmazonami. Drugi powiada, że to bajka, ale jako żywo, bajka być nie może, bo jakżeby rzecz zmysłową śmiano drukować, szychowską i sprzedawać. Za te trzy kopersztychy dałem trzy talary.

(Ochocki Jan Dułcan, *Pamiętniki z pozostałych po nim rękopisów*. Włód, 1857, tom I; str. 112 — 119).

Podał do druku

Wacław Zawadzki

ALEKSY TOŁSTOJ

DROGA PRZEZ MEKĘ

Część 3  
POCHMURNY RANEK

Tłum. W. Broniewski  
W. Rogowicz

str. 494

zł. 600

## KOESPONDENCJA Polska Marsylianka z r. 1830

Do Redaktora „Odrodzenia”

Nawiązując do artykułu Gabriela Karskiego o „Marsyliance” przystępuję do zapomniań przelated tej pieśni z r. 1830. Ukazał się on w nr. 1 warszawskiego „Barda oswoobodzonej Polski”, publikacji niezmiernie dziś rzadkiej. Najznamienniejsze i najbardziej wzruszające są w tym przekładzie apostrofy do Piastów, Sobieskiego, Bstowego, Sarmatów — i retoryczne pytanie „czyż krew polska w nas nie płynie?” — gdyż autorem tłumaczenia jest uczeń warszawskiej Szkoły Rabinów, Lemel Hernisz. Strofy Zyda — patrioty pełne są żaru i szlachetnego patosu, a pod względem formalnym nie u-

stępują wielu innym (przeciętnym) wierszom i pieśniom bojowym z tego okresu. Tytuł utworu brzmi: „Wiersz do Polaków na nutę „Allons enfants de la patrie!” — ale całość nie bardzo się pod tę nutę podkłada, gdy ją porównać z idealnym pod tym względem metrycznym przekładem Porębowicza. Wada to wszystkich owczesnych przekładów, wynikająca z niechęci do używania rymów męskich: uchodziły one za niegodne podmiejskiej tematyki poetyckiej.

O osobie ucznia Szkoły Rabinów Lemela Hernisza i o innych jego wierszach polskich nie mi niestety nie wiadomo.

Przyszła chwila naszej sławy,

Ocknijcie się, cni Rodacy!

Wszak tyraństwa sztandar krwawy

Nad nami wiewał, Polacy!

Chećcież by na naszej ziemi,

Barbarzyńców dzikie hordy

Pomiędzy dziećmi waszemi

Szerzyły przetrach i mordy?

Dalej, bracia, w Imię Boga,

Uformujcie bataliony,

Niechaj krew naszego wroga,

Szerzwni nasze zagony.

O Sobieskich zacie plemię!

Chećcież, że, by na pośmiewisko

Wystawiono Twoje ziemie,

Wolności niegdys siedlisko?

Chećcież, potomki Stefana,

Zapomniałszy szczęsnej doli,

By Polska wrogiem zalana

W wiecznej jęczała niewoli!

Dalej, bracia,.....

Czyż, w wolnej Piastów dziedzinie,

Sćierpimy obcych kajdany?

Czyż krew polska w nas nie płynie?

Czyż Sarmata zaprzędany?

Polacy nie są strwożeni,

By jęczeć w więzów smrocieci,

Do dzieł wielkich przeznaczeni,

Holdują wolności, cnotcie.

Dalej, bracia,.....

Drżycie w waszych siedlisk lonie,

Wyrodne świata poczwary!

Tyrany, wnet wasze skronie

Uwieńczy laur słusznej kary.

Wytepią ciemiężycieli

Bohaterów naszych siły

I z ich szlachetnej mogily

Tysiąc powstanie mścicieli.

Dalej, bracia,.....

(Dziecie)

Pójdziem na bój i mozoły

W świetne naszych braci ślady,

Znajdziemy tam ich popioły

I szlachetnych cnot przykłady,

Ich rycerskich pamięć czynów

Ramiona nasze uzbroi,

A imię Ojczyzny Synów

Odwagę naszą podwoi.

Dalej, bracia,.....

Spieszmy na pole Bellony!

Zaniesmy śmierć w wrogów rotę,

Niechaj wszystkich mocarstw trony

Uwiełbiają nasze cnoty.

A gdy polski miecz zwycięży,

Gdy orzeł biały odżyje,

Wtenczas przy szczęku orężu,

Zanuśmy „Niech wolność żyje”.

Dalej, bracia,.....

Święta miłości Ojczyzny!

Wspieraj mścicieli ramiona,

Dla ciebie nam słodkie bliźny,

Nawet i śmierć poniesiona.

Wolności, wolności droga!

Dla ciebie niechaj zwycięstwo

Nad mocą naszego wroga

Uwieńczy Sarmatów męstwo!...

Niech żyje Ojczyzna i Wolność!

Julian Tuwim

## Jeszcze Ditta i Pani Vang

Do Redaktora „Odrodzenia”

Niezmiernie charakterystyczną sprawą dla rutyniarzy i głęboko antydemokratycznych zakorzenionych u nas sposobów myślenia jest sprawa Ditty i państwa Vang, poruszona na łamach „Odrodzenia” przez ob. Jana Lipskiego oraz Władysława Blachutę. Pomijam oczywiście tu kwestię czy Ditta i pp. Vang mówili do siebie po imieniu, gdyż jest to tylko niezręczność tłumacza. Oczywiście mówili do siebie na „wy”: „wy, pani Vangi!” „wy, panno Dito!”. Chodzi mi tu o postawienie znaku zapytania nad prawdomównością takiego realisty, jakim jest Marcin Andersen-Nexo, dlatego, że twierdzi, iż w domu państwa Vang usługiwano sobie wzajemnie i chodzono razem do teatru. Chodzenie do teatru ze służącą ob. Lipski nazywa „utopią” a ob. Blachuta „rzeczka mało prawdopodobną”. To znaczy, do dziś dnia trwają „kuchcie” za inny niższy rodzaj człowieka, i nie przychodzą im do głowy, że nawet w burżuazyjnej Danii sprawa ta jest od dawna postawiona inaczej. W skromnym duńskim domu, nawet średnio zamożnym, gdy przychodził na obiad czy herbatę zawsze przedstawiano mi ową „Froken, Jensen, Petersen czy Olsen”, która pełniła w domu funkcję „pomocnicy domowej”. Osoba ta siadała z nami do stołu, usługując jednocześnie, a syn domu dolewał jej wody, piwa czy wina. Jeżeli to było na wsi, po obiedzie i po sprząnięciu naczyń „panna Jensen” grała z nami w siatkówkę, gływała kajakami lub szła razem z nami na plażę. Panna Jensen, służąca moich przyjaciół F., była bardzo miłą i sympatyczną osobą, pływaliśmy z nią wszyscy razem na wycieczki w morzu i iestem przekonany, że państwo F. z bierali ją z sobą do teatru jak innych członków rodziny. „Pomocnicami domowymi” w Danii są często osoby wykształcone, często jest to sposób zarobkowania dla studentek uniwersytetu, gdyż przy duńskim ścisłym podziale dnia, da się połączyć ta praca ze studiami. W literaturze polskiej istnieje

(zapomniany niestety) utwór, który wniebnie oddzwiera sytuację służącej w burżuazyjnym domu duńskim. Oczywiście traktowanie służącej jako pełnoprawnego człowieka, które dla ob. Lipskiego jest „utopią” a nawet „groteską” nie zabezpiecza przed komplikacjami erotycznymi. Ale to jest inna sprawa.

Jarosław Iwaszkiewicz

\*

OD REDAKCJI

Pierwszą część listu Jarosława Iwaszkiewicza jest zabawnym nieporozumieniem, ani ob. Blachut, ani ob. Lipski, ani redakcja „Odrodzenia” nie są tak „antydemokratycznymi”, by uważali traktowanie „kuchty” jak równego człowieka za „groteskę” czy też „utopię”. Wprawdzie nie tylko tradycja, ale aktualna rzeczywistość daje jeszcze niekiedy sposobność obserwowania takich wypadków, że „lokaj” boi się obudzić „jaśnie pana”, są to już jednak przejawy obyczajowego anachronizmu, zanikną, gdyż zostały podjęte ich społeczne korzenie, socjalizm zaś jak wiadomo, prowadzi w ogóle do zniesienia tej kategorii pracowników, która nosi nazwę „służby domowej”. Wbrew natomiast temu co pisze Jarosław Iwaszkiewicz o demokratycznym traktowaniu pracowników domowych w Danii, nie jesteśmy wcale ujęci tą czartującą wizją. Nie tylko zresztą w Danii, ale i w bardziej jeszcze burżuazyjnej Ameryce rolę pracowników domowych spełniają często studentki. Warto byłoby przeprowadzić ankietę wśród naszych studentek, by donieść o tym, czy ten sposób zarobkowania pociągłaby je, nawet gdy by miały do czynienia ze „zdemokratyzowanymi „paniczkami”. Ditta nie była zresztą studentką, była dzieckiem ludu i jej własne odczucie, że stosunki panujące w domu państwa Vang są wyjątkowo i nietypowe, świadczy o tym, że sprawa t.zw. „dobrych państwa” nie ma dostatecznej wagi społecznej, by się nią zajmować.

## CAMERA OBSCURA CO TYDZIEŃ NAGRODY 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z usteptami kwalifikującymi się do „Camera obscura” pod adresem Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 16, Dział „Camera obscura”. Ustept taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię i nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zwraca sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przynajmniej nagrodę w wysokości 2000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przelozyć na następnym tydzień.

Nagrodę zł. 2000 w ubiegłym tygodniu otrzymał ob. Majewski Zygmunt, Katowice, ul. Sobieskiego 8a/11, za wycinek z „New York Herald Tribune”

### Niemiecki owczarek

Lekarze przyboczni Rockefellera, chcąc zapewnić swemu pacjentowi jak najdłuższy żywot, postanowili wydać specjalne pismo codzienne w jednym egzemplarzu wyłącznie dla użytku starego Johna. W dzienniku tym, rzecz jasna, wszystko było „O-Kej”, „świat jako wola i wyobrażenie... zgrzybiałego rekina. W stosunku do Rockefellera metoda powyższa okazała się skuteczna. Staruszek dożył wieku patriarchalnego i umarł w przewidzianym czasie, ze osierocił świat. Spadkobiercy Rockefellera rozszereżyli jak widać niżej metodę i aplikują podobną kurację całemu społeczeństwu Ameryki. Wszystko „O-Kej!” Plan Marshalla wybawił Europę od wszelkich zmartwień. Zwłaszcza Anglików, którzy wariują wprost z dobrobytu. Jak mówią Rosjanie „Szyru biesiatsa”. Nie wierzyć? — przeczytajcie korespondencję „United Press” z Anglii. Żadnych trosk, żadnych pretensji do Wallstreet, żadnych wewnętrznych tarć; ani śladu walki klas. Owszem, zanosi się na zaburzenia, ale na tle dogmatów religijnych. Na przykład: „Czy psy uczestniczą w życiu pozagrobowym?”

BISKUP OŚWIADCZA, ŻE MA NADZIEJĘ ZOBACZENIA W NIEBIE SWOICH PIĘCIU ULUBIONYCH PIESKÓW

Chelmsford, Anglia, 1-go lipca, Dr. Henryk Wilson, 72 letni biskup m. Chelmsford oświadczył dzisiaj, że ma nadzieję zobaczenia w niebie swoich pięciu ulubionych piesków.

„Cóż to będzie za rozkoszne szczenię, skomlenie i lizanie rąk, na moje powitanie” — powiedział biskup, który wczoraj w szatach kościelnych uroczystie poświęcił cmentarz dla zwierząt, co spotkało się z licznymi komentarzami. Wierni stali z pochylonymi głowami w pobliżu grobów psów, kotów i jednego królika, podczas gdy siwołosy biskup modlił się: „Niech Bóg błogosławi naszych przyjaciół, tutaj pogrzebanych. Módlmy się, abyśmy mogli ich spotkać w życiu sukieustym”.

Nabożeństwo zostało odprawione nad grobem Dusty'ego, niemieckiego owczarka, który poszedł śladami czterech poprzednich psów biskupa i został pogrzebany dziewięć miesięcy temu.

Później biskup oświadczył: „Trudno jest mi jako miłośnikowi psów uwierzyć, aby nie dostały one nieśmiertelności, jakiegokolwiek by było zdanie teologów”.

Nie śmiejemy się. Dr. Wilson jest skromnym biskupem Chelmsfordu i przedmiot jego zmartwień jest odpowiednio skromny. Biskup Rzymu — Pius XII, na podobne zmartwienie, ale w skali stołecznej. Kiedy zabiegał o życie Francka, pomniejsi gestapowcy pocieszali się, że wprawdzie nie zdołał zapewnić mu szczęścia na ziemi, ale niewątpliwie utrował mu żarliwą modlitwą — drogę prosto do nieba.

Biskup biskupowi nierówny. Każdy ma innego niemieckiego owczarka.

### Ciało ob. Czarneckiego

Na Morskiej Wystawie Problemowej w Gdyni można nabyć „Asira-Horoskop” firmy D. Czarnecki. Z tego bogato ilustrowanego dzieła dowiadujemy się na wstępie, jakie znaki zodiakalne opanowują odnośnie części ciała:

Baran — głowę  
Byk — szyję  
Bliźnięta — plecy, ramiona  
Rak — piersi  
Lew — serce  
Panna — zółdę  
Waga — nerki  
Skorpion — narządy płciowe  
Strzelec — uda  
Koziorożec — kolana  
Wodnik — kostki  
Ryby — nogi

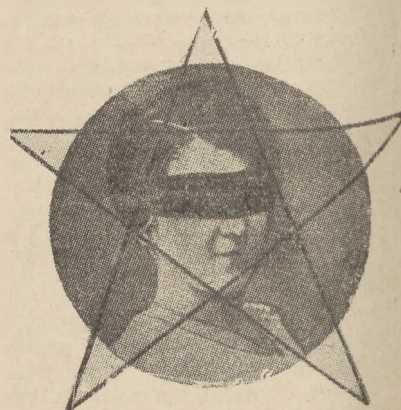
Majtkowie, którzy zawędrowali na Morską Wystawę Problemową dowiedzą się z zawartego w „horoskopie” „Kalendarza wiecznego na lata od 1801 do 2000”, że:

„chociaż pani w zasadzie jest wiernej jednak zmieniać partnerów lubi często... Ludzie umięją takie słabości wykorzystywać... Plecy i kręgosłup są organami, które najbardziej trzeba osłaniać...”

„Styczeń przewidyuje korzyści materialne przez osobę płci odmienniej”.

„Maj przewidyuje awans w pracy zawodowej... Nastąpi także przygoda i to dość ekscentryczna z osobą płci odmienniej”.

„Niezależnie od przeszerzeni i casusu są spizowe prawa wszechświata. Ponad tym wszystkim jednak nagrodę miała się nauka o gwiazdach i ciablach niebieskich”.



„Ciało niebieskie” ob. Czarneckiego zasłużyło na kłapska. Astrologowie tej miary nie wolno zapominać, że „Plecy i kręgosłup (zwłaszcza dolna partia kręgosłupa) są organami, które najbardziej trzeba osłaniać...”

### Odpowiedzi Camery

W związku z dużym napływem listów, poruszających coraz częściej istotne zagadnienia, zamiast dawnych „bądź drukarskich”, wprowadzamy rubrykę „Odpowiedzi”, by tą drogą nie mogąc wszystkim przyznać nagrody, udzielić przynajmniej niektórym odpowiedzi.

Hak. Dziękujemy. W ostatniej chwili wstrzymaliśmy wysyłkę. Jeszcze raz sprawdziła się zasada: „Wcale nie płaci, kto późno płaci”.

Ewa Różniecka, Warszawa. Dziękujemy za miłe słowa. Do powieści odcinkowej „Rzeczypospolitej”, „Płonący wrzesień” — zajrzymy.

R. M., Kraków. Chce pan zostać dramaturgiem i pisze pan co następuje: „Zastanawiam się, jakie konflikty będą tematem sztuk teatralnych w warunkach społeczeństwa bezklasowego. Sądzę, że to wszystko, co dzisiaj ze względu na tocząca się jeszcze walkę klasową, odrzucamy jako wsteczne i mieszczańskie, np. konflikt człowieka garbatego ze światem kobiecym, jak w powieści odcinkowej „Rzeczypospolitej” — uzyskał znowu prawo obywatelstwa w sztuce”.

Możliwe...

W poprzednim 32 (245) numerze „Odrodzenia”: Witold Zalewski: Chrześniacy idą z nami. — Georgo Chandes-Bidwell: Rozwój i upadek prasy brytyjskiej. — Kościół a ruch wolnościowy czyli Ekskomunikacja Nr. — Roman Bratny: Zywa barykada. — Warszawa ruin i odbudowy w oczach grafików czeskich. — Adrian Czerwiński. Na skwapliwie kwapienie. — Wincenty Wersa: Wspomnienia. — Jerzy Broszkiewicz: Kształt miłości. — W. N. Mimochodem: O kolejarzach.

Ananiasz Zajączkowski: Orientalistyka czesiosłow